KRAKOWSKI MIESIĘCZNIK ARTYSTYCZNY.

ORGAN TOWARZYSTWA OCHRONY PIĘKNOŚCI KRAKOWA I OKOLICY.

H. K.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA
KRAKÓW. — UL. BISKUPIA V.

NUMER I. STYCZEŃ-LUTY 1913 R.

DO NASZYCH PRZYJACIÓŁ.

Po całym obszarze Polski rozrzuconych jest wiele zabytków, nieznanych szerszemu ogółowi, wiele zakątków uroczych a ukrytych, których utrwalenie i rozpowszechnienie wiadomości o nich jest bardzo pożądanem.

W wydawnictwie przez nas podjętem otwiera się pole dla tych dążeń, w imię których czujemy się upoważnieni zwrócić się do Wszystkich, podzielających naszą serdeczną troskę o zachowanie zagrożonej piękności kraju, z zaproszeniem do wzięcia udziału w naszych usiłowaniach, przez nadsyłanie wiadomości, zdjęć fotograficznych, sztychów, ilustracyi, rysunków i t. d., ciekawych budowli i partyi krajobrazowych, zarówno pięknych, jak i mogących posłużyć za przykład odstraszający.

Zapraszając do zapisywania się na członków Towarzystwa, zwracamy uwagę, że tego rodzaju instytucye winny mieć tysiące członków.

Podajemy wyciąg naszego statutu:

§ 2. Celem Towarzystwa jest inicyatywa i współdziałanie w upiększaniu, a przeciwdziałanie w oszpecaniu miasta Krakowa i okolicy;

§ 5. Członkowie dzielą się na:

a) Założycieli, którzy na cele Towarzystwa złożą jednorazowo najmniej 200 Kor.;

b) Wspierających; mogą być nimi instytucye lub jednostki, które zobowiążą się wnosić na rzecz Towarzystwa najmniej 25 Kor. rocznie;

c) Zwyczajnych, płacących roczną wkładkę 6 Kor.

ADRES: TOWARZYSTWO OCHRONY PIĘKNOŚCI M. KRAKOWA I OKOLICY - KRAKÓW, BISKUPIA 5.

ROCZNIK 3. REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW, UL. BISKUPIA 5. STYCZEŃ-LUTY

MIESIĘCZNIK ARTYSTYCZNY

ORGAN POŚWIĘCONY SPRAWOM:

ZWIĄZKU TOWARZYSTW UPIĘKSZANIA KRAJU, TOWARZYSTWA OCHRONY PIĘKNOŚCI KRAKOWA, TOWARZYSTWA UPIĘKSZENIA M. LWOWA I OKOLICY.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W KRAKOWIE BEZ ODNIESIENIA DO DOMU . K. 4·—
Z PRZESYŁKĄ W AUSTRYI . . . . „ 5·—
Z PRZESYŁKĄ ZAGRANICĘ . . . . . MK. 4 = RB. 2·—
ZESZYT POJEDYNCZY . . . . K. —·50

ROCZNIE UKAZUJE SIĘ DZIESIĘĆ ZESZYTÓW.

NR. 1, 2. REDAKCYA I ADMINISTRACYA: LWÓW, UL. MOCHNACKIEGO 58. 1913 R

OD REDAKCYI.

Ponieważ wspólna praca z Towarzystwem Przyjaciół Sztuk Pięknych, z Muzeum Narodowem w wydawnictwie z technicznych względów okazała się mało wydatną, przeto postanowił Wydział Towarzystwa Ochrony Piękności Krakowa na posiedzeniu z dnia 10 stycznia b. r. pod własnym zarządem podjąć dalej rok trzeci naszego miesięcznika. Nie będzie to bynajmniej zmiana w kierunku pisma lecz tylko administracyjna część zostanie uproszczoną, gdyż zarówno z Towarzystwem Przyjaciół Sztuk Pięknych jak i z Muzeum Narodowem stać będziemy w ścisłej łączności.

Obecnie zatem administracya i redakcya będzie w lokalu Towarzystwa ul. Biskupia 5., godziny urzędowe we wtorek i piątek od 6 do 8-mej.

Chcąc, aby strona inseratowa odpowiadała naszym wymaganiom oddaliśmy ten dział w opiekę p. Jana Żmijewskiego. Inseraty dla nas z tego powodu są ważne, że tak jak już poprzednio zaznaczano, chcielibyśmy, aby nasze pisma periodyczne, czy to dzienniki, czy miesięczniki lub tygodniki znaczną część plakatów ujęły na swe szpalty, a przez to odciążyły plagę naszych miast, niestosownego i przesadnego plakatowania, które stało się kosztowną, szpecącą ulice bezcelową zabawką. Niewielka ilość plakatów będzie skuteczniejszą, a przez to może być drożej płaconą, drukarnie będą miały ten sam zarobek, a ogłaszający zyskają przez to, że reklama stanie się istotnie użyteczną.

CZYŻBY TRYUMF NONSENSU?! RZECZ O KOLEJCE NA ŚWINNICĘ.

I.

W jesieni r. 1912 dziennikarskie czernidło rozniosło po kraju wieść, nie tyle radosną, co niespodzianą, że Wydział krajowy uchwalił (jako wniosek na Sejm) subwencyę 500.000 kor. dla poparcia budowy kolejki na Świnnicę.

Wprawdzie przyzwyczajeni jesteśmy do najnieprawdopodobniejszych niespodzianek w kochanej naszej ojczyźnie, do bezwzględności w bałamuceniu opinii publicznej bezgranicznej, liczącej — nie bez niejakiej słuszności w pewnym przynajmniej zakresie — na jej niemowlęctwo, do koziołków przekonaniowych naszych polityków i dysoryentujących oryentacyi w przełomowej dla nas chwili dziejowej partyi kierujących, chorych na marazm lub zwyrodnienie moralne. Jednak to wszystko, choć mogło i powinno było, nie zdołało nas jeszcze wyleczyć od zdolności dziwienia się przedziwnym gorgom władczego areopagu, sprawującego rządy nad — mianem Galicyi i Lodomeryi, z łaski, jakiego c. k. Prohaski, ochrzczonym, a Beocyi Szczęśliwej pokrewnym zakątkiem polskiej ziemicy.

Powiedzieć miał raz Mały Korsykanin, że gdy tysiące ludzi naprawdę na coś się uweźmie, to — jakiekolwiek by to było nieprawdopodobieństwo — stanie się nieodzownie. U nas inny zwycięża axyomat: Na cokolwiek ktokolwiek u nas się uweźmie — choćby to był niebotyczny nonsens — wydrepcze cierpliwością, czapką, papką i za wstawiennictwem przewielmożnej matrony Protekcyi.

Bo te jedynie argumenta w sprawie kolejki na Świnnicę użyć się dały, — innych brak; ale te są u nas najpotężniejsze. Zaprawdę pusty ogarnia śmiech, bo oburzenie z wypróżnionym już stoi kołczanem, na ten dar hojny, tak bardzo hojny w stosunku do żebraczego budżetu — dla fantastycznej imprezy, o tyle bezsensownej, ile szkodliwej, gdy kraj jest, jak dziur pełen katastrofalnych tonący statek, — dziur, których nie ma czem zatkać, gdy głodne rzesze nauczycieli wołają chleba, gdy prusacy wydzierają nam miliardy tkwiące w zagłębiu krakowskiem... — Lecz czyż tu miejsce rozpoczynać dantejską wędrówkę po phlegrejskich polach Galicyjskiej Gehenny?!

Wypowiedział się wiec członków Tow. Tatrzańskiego w Zakopanem gromkim stanowczym protestem przeciw gründerskiemu najazdowi P. Dzieślewskiego na klejnot gór naszych, wiec kierowany przez ludzi, nie tylko pełnych miłości do tatrzańskich szczytów, lecz fachowo obznajomionych ze stosunkami gór tatrzańskich, turystyki i kraju.

Zaprotestował zjazd Związku ochrony piękności kraju, Tow. Techniczne krakowskie, wiec publiczny w sprawie ochrony Tatr, zaprotestowało ogólne zgromadzenie sekcyi Turystycznej Tow. Tatrzańskiego; dawniej jeszcze bezskutecznie oponowali ludzie tej miary, jak K. Tetmayer, Bartoszewicz, Pawlikowski, Witkiewicz, Radzikowski, znawcy Tatr najpoważniejsi, a Izba handlowa krakowska wydała o projekcie opinię ujemną. Posypały się artykuły polemiczne, wykazujące całą kruchość wywodów p. Dzieślewskiego, niestrudzonego od lat dziesięciu impressarya kolejki na Świnnicę. Nie pomogło to wszystko w obec jego niezłomnego uporu i natarczywości, Wydział krajowy wotował subwencyę! Ciesz się narodzie — będziesz miał kolejkę na Świnnicę! —

P. Wiktor Kuźniar w świetnej broszurze: »W sprawie kolejki na Świnnicę« poddał projekt objektywnej a miażdżącej krytyce. Nie wdając się w oświetlanie

strony estetycznej kwestyi, obalił jeden po drugim wszystkie argumenta p. Dzieślewskiego, starające się dowieść rentowności kolejki. Skompromitował cały zamysł tak gruntownie, wykazując nieprawdopodobną absurdność i niemowlęcą wprost naiwność wywodów, zadał mu szereg ciosów tak niezawodnie zabójczych, że spodziewać się należało, iż jest uśmierconym na wieki i spocznie w muzeum wszelakich potwornych osobliwości. Tymczasem pod czarodziejską dłonią Wydziału krajowego zmartwychwstał w blasku i chwale.

Dość wspomnieć o owej zwózce siana z hali Gąsienicowej, o zbiorze ziół leczniczych i budowie sanatoryum na hali, by dać materyał pierwszorzędny do wzniesienia rzecznikowi projektu — pomnika wiekopomnej chwały. Fachowo ekonomiczne i geologiczne wywody, dowodzące małej wartości użytkowej granitu tatrzańskiego na przestrzeni projektowanej kolejki, przeprowadzone ściśle i przekonywująco przez pierwszorzędnego znawcę Tatr i uczonego geologa opierające się na zdaniu największych powag naukowych odnajdzie każdy w wymienionej wyżej broszurze p. Wiktora Kuźniara. Niemniej zabójczo wypadła opinia prof. Dr. Weyberga i Dr. M. Limanowskiego, również znanych, wieloletnich badaczy Tatr. Zwrócę uwagę przeważnie na stronę estetyczną projektu, z rozmysłu w broszurze p. Kuźniara mniej uwzględnioną, jak niemniej oświetlę wszechstronnie sprawę ze stanowiska potrzeb i szans ruchu turystycznego, czego dotąd w dostatecznej mierze i w stopniu odpowiadającym ważności tego momentu nie uczyniono.

Istnieje pewien zasób prawd, które uświadomiły się z biegiem czasu szerszym warstwom przynajmniej klas oświeconych do tego stopnia, że uzasadnianie ich i tysiąckrotne z rzędu stwierdzanie słusznie może napotkać zarzut zbyteczności, nużącego powtarzania w koło znanych, utartych myśli. Jedną z prawd takich jest stanowcza wyższość estetyczna przyrody dzikiej, jeżeli dzikość jej i pierwotność stanowi integralną część jej charakteru i odrębności, nad takąż mniej lub więcej skażoną dziełami rąk ludzkich, wprowadzającymi w całokształt krajobrazowy czynniki zupełnie różnolite, jego strukturze nie poddające się a przeciwnie gwałcące je bezwzględnie, narzucające mu motyw dyametralnie obcy, z innego zupełnie świata pochodzący, z konieczności dysharmonijny i organicznie zróść się z otoczeniem stanowczo nie zdolny.

Nie odnosi się to do dzieł artystycznie twórczych, z mądrym obliczeniem i intuicyjnym wniknięciem w istotę danego ukształtowania stworzonego siłami przyrody, w jego konstruktywny wykładnik i nastrojowy ton — dostrajających plastyczny wyraz ludzkiej myśli do otoczenia dzikiej przyrody, stwarzających w ten sposób formy, będące jakoby ujawnieniem tajemnicy w przyrodzie tej tkwiącej, zjawą jej wnętrznej piękności, podkreśleniem nieraz jej najsilniejszych akcentów.

Tak samo użytkowe choćby wytwory ludzkiej ręki, jako wynik elementarnych potrzeb człowieka, który pustkowie zamieszkuje, w jego warunkach wzrósł i do nich się dostosował, będąc wypadkową potrzeb i nawyknień, z miejscowego gruntu wyrosłych a przystosowania się do fizycznych właściwości otoczenia, jakoteż tych tendencyi plastycznych, jakie tubylcowi w krew wsiąkają oddziaływaniem rodzimej przyrody — z natury rzeczy więc będąc jakby organicznym tworem, z podłożem związanym i jego duchem przepojonym, stapiają się harmonijnie z otaczającą przyrodą i nie mącą jej obcością rzeczy naleciałych z daleka.

Inaczej zupełnie, gdy człowiek naturę dziką brutalnie niewoli, narzucając jej formy wyrosłe z zupełnie obcych porządków kultury a mając jedynie na oku cele zdobywcze i rabunkowe nie liczy się najzupełniej z charakterem i nastrojem danego terenu.

Jakkolwiek, jak rzekłem, utartej, ogranej prawdy tu dotykam, nad którą rozwodzić się niejednemu może zbytecznem się wyda, za potrzebne uważam przy sprawie tej jednak chwilę się zatrzymać, z powodu, że w ostatnich właśnie czasach ze stanowiska estetycznego właśnie światopoglądu pojawiły się zdania, które ten i ów, zbyt powierzchownie daną rzecz traktując, mógł by uważać jako argument osłabiający ową naogół uznaną prawdę, że dzikie pierwotne kąty natury ulegają stanowczemu oszpeceniu przez narzucenie im nowoczesnych wytworów inżynieryi i industryi.

I tak ze strony poważnych estetów zwrócono uwagę, że trasy kolejowe, mosty i tunele częstokroć przyczyniają się do urozmaicenia pejzażu górskiego i podkreślają właściwości przepaścistego, spiętrzonego terenu. Jest to zupełnie prawdziwe, jeżeli rozchodzi się bądź to o doliny rzek i strumieni, bądź też o pokonywanie wielkich wzniesień przy przekraczaniu liniami kolejowymi potężnych działów górskich czyli przełęczy. Są to zawsze naturalne drogi komunikacyjne, przez samą niejako naturę wskazane, tem samem już charakterem swym mniej lub więcej nadające się do tego rodzaju technicznych założeń, mniej też lub więcej opanowane od dawna przez ludzką kulturę i osiedlenie. Tutaj sztuka inżynierska adaptuje się do danych pochyleń i spadków, systemem zakosów, pętlic i ósemek, tunelowych przepustów i wiaduktów rzuconych nad przepaściami interpretuje niejako na swój sposób właściwości danego terenu a przeciwstawiając jego pionowemu spiętrzeniu swe założenie poziomu podkreśla wrażenie jego wyniosłości.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z kolejkami zębatemi i linewkowemi. Pierwsze przezwyciężając siłę ciężkości jedynie całkiem z bliska widocznym mechanizmem kół zębatych i specyalnych hamulców, drugie wprost wydzwigiwane siłą poza nimi działającą, emancypują się niejako w mniejszym lub większym stopniu od zależności w stosunku do właściwości terenu i narzucają mu bezwzględnie swoje prostolijne przeważnie i parodoxalnie pionowe trasy. Stają się temsamem z reguły aroganckim przekreśleniem danych z natury warunków, ich zaprzeczeniem, przekornym protestem, momentem zupełnie obcym wśród malowniczej rozmaitości struktury górskiego wzniesienia. Jako takie działają szpecąco, niszczą w znacznym stopniu urok szczytowych napiętrzeń. W bezdroże, bezdrożnością swą i niedostępnością pociągające, stające się bez tego czynnika jedynie mniej lub więcej ciekawą panoramą, wprowadzają wrogi mu element wygodny i wszechdostępności, z dzikiej turni czynią banalny, gwarny gościniec, który na zawsze wypłasza duchy gór ze skalnych załomów. Szczyt, zaklęty w ciszę i samotność, otwierający skarb wzniosłych upojeń i podnieceń ducha jedynie tym, co go wydrą sobie trudem znojnym a nieraz narażeniem na wszelkie zdrady i zatrzaski geniusza gór, detronizuje się naonczas na postój dla wszelakiej gawiedzi, żądnej wygodnej, łatwej rozrywki dla zabicia nudy — staje się terasą letniskowego hotelu, pułapką na pełne kieski wałęsającego się bluffu. A za nim podąża z worem potwornego niechlujstwa za żerem węszące, pożądające wiecznie zysków, chamstwo współczesnego kramarza i z bezdennej jego, cuchnącej czeluści wysypuje cały swój śmietnik na niepokalane czoła skalisk, kobierce zielne jak łona dziewicze świeże i czyste i cały ten w chmurach skąpany, rozperlony rosami, wypieszczony w topieli pocałunków słońca — surowy, krzepki,

przeczysty i jakby świątynia bogom ciszy i wzniosłości poświęcona — nietykalny, świat wysokich gór.

Hotelowe koszary z wszystkimi akcesoryami przyprawiającymi o mdłości, kjoski przeróżne z jaskrawemi widokówkami, po które zjeżdża tam pół świata, automaty przemyślne, reklamy narzucające się, wszędobytne firm światowładczych i Bóg wie co jeszcze, wleką ludzie za sobą liniami szczytowych kolejek; całą nędzą i brzydotą codziennego swego bytowania zarzucają te siedliska ongiś bogów gromowładnych, te jedyne dziś prawie, wybrane miejsca ucieczki dla znużonych całą tą tandetą, chcących przez chwilę choć odetchnąć — nieskażoną ludzką chciwością i pomyjami życiowej kuchni — naturą.

Czyliż nie znamienny to symbol całej ideowej mizeryi i płaskości duchowego podkładu i dążeń tz. współczesnej cywilizacyi: owe hotele o rozpaczliwym przeważnie wyglądzie miasto świątyń i ołtarzy na podniebnych szczytach, międzynarodowy kelner z ręcznikiem na skaliskach, które dawniej jedynie druidów, wróżów i kapłanek poświęcanych stopy nabożne deptać godne były, by nieść obiaty bóstwom niebieskim w obliczu słońca?

Budowanie kolejek szczytowych jest barbarzyństwem, jest wynikiem spaczenia istotnych wartości turystyki górskiej i ożywiającego oddziaływania dzikiej przyrody górskiej na człowieka, sprowadza i popiera obniżenie i zplebeizowanie poziomu wzruszeń, które ta natura w dani mu przynosi. Narzucając mu się wygodą i skróceniem czasu wycieczki, okrada kolejka turystę z całego szeregu rozkoszy, jakie jedynie bezpośrednie obcowanie z przyrodą górską dać potrafi, z przeżycia całego stopniowania wrażeń, jakich przy wspinaniu się na szczyt się doznaje, z tego orzeźwiającego potężnie a nie dającego się inaczej osiągnąć podniecenia, tryskającego ze wzmożonego poczucia siły i zdrowia, jakie daje współdziałanie pracy mięśni, serca i płuc, czerstwości i lekkości świeżego powietrza gór a stopniowego wchłaniania w siebie coraz to nowych czarów pobliża i dali, coraz szerszych roztęczeń horyzontu i głębiny, kuszących zawrotności przepaści, tryumfu odwagi i radości zwycięstwa. Ten jedynie całokształt różnorakich czynników sprowadza ten jedyny w swoim rodzaju stan duszy, uzdalniający do zaczarowania otaczających nas piękności w aureoli ekstazy i zachwytu w baśń tajemniczą a jednak odsłaniającą jak w jasnowidzeniu nieme, niezgłębione prawdy. Dusza pije siły życiodajne z bezdennej krynicy, drobne troski i kłopoty bieżącego dnia toną w ogromie ostatecznych, niezmiennych wartości, a wielkie bóle i załamania duszy pod ich zaklęciem stają się plenną grzędą nowego tworzywa. Przeżywamy chwile świętej modlitwy, unosimy z sobą bezcenny, trwały skarb potężnego, wzniosłego przeżycia.

Gdy wsiądziesz do ciasnego pudła kolejki, unosi cię i opuszcza siła nieujęta, zmysłami ogarnąć się nie dająca. Doznajesz niepokojącego uczucia jakiejś nienormalnej przeciwnej naturze lokomocyi. Stłoczony z różnorakiem tłumem nie twego wyboru chwilami poprzez głowy pasażerów spostrzegasz ułamkowe fragmenta niespójne, jakby zabłąkane, dalekich widoków. Nierzadko zgiełk i śmiechy rubaszne a chwianie się, trzęsienie i turkot pojazdu i nienormalnie szybkie wznoszenie się w górę bez regulującego wpływu współdziałania fizycznego wysiłku i postojów powodują oszołomienie i szum w uszach. Po przez ciemną, smutną, reklamami zaklejoną budę stacyjną wyrzucają cię męty turystów na terasę hotelu, o właściwym tym instytucyom wyglądzie i znieodzownym garnirunkiem, w pole widzenia czyhającego na napiwek kelnera, czem stajesz się pastwą jego Sherllocko-Holmowskich exercycyi na punkcie oceny pojemności twojej

sakiewki. Olśniewa cię, jakby wśród tej banalności z nizin zawleczonej na zamówienie rozpięta ku przynęcaniu gawiedzi w celu mnożenia dywidend, wspaniała panorama przeogromnych łańcuchów granitu i lśniących lodowców, poglądowa nauka geografii. Jesteś chłodny i zmrożony do głębi i cały ten przepych wysokogórskiej grozy nie mówi ci nic. Wygnano bogów ciszy, skupienie i samotności i sprofanowano produktami niskiego sposobu myślenia świętość przybytku kontemplacyi. Gniewne potęgi wysoczyn zamknęły swą tajemnicę na 7 pieczęci a baśń tęczowa ukryła się w wnętrzu swych głaźnych pałaców i zatrzasnęła podwoje z granitu. — Niemo i pusto w tobie i na okół, w daleką obcą martwotę malowniczego widoku patrzysz, jak w twarz kobiety pięknej a bezdusznej, z którą cię nie łączy żadna nić współdźwięku czy pożądania, jak na ogromną, ładną widokówkę. Unosisz z cierpkim, upokarzającym posmakiem zawodu i jakby swego niedorostu rychło zacierające się luźne wspomnienie pięknego martwego obrazu, pozbawionego barwy afektu i treści duchowej, — przeżycia żadnego.

Ze względu na uwodzenie wielkiej rzeszy podróżujących pokusą wygody i szybkości do tego niegodnego i nieodpowiedniego używania piękności górskich widoków — należy zwyczaj budowania kolejek szczytowych bezwzględnie zasadniczo zwalczać jako prąd wrogi kulturze, obniżający cenne wartości, dysoryentujący zdrowy instynkt w danej dziedzinie, który jako zmierzający ku szlachetnym wzruszeniom, dążący do zaspokojenia wzniosłych tęsknot należy rozbudzać i hodować, na właściwe drogi go kierując. Ponadto kolejki szczytowe, szpecąc mniej lub więcej najpiękniejsze szczyty, odejmując im raz na zawsze urok niedostępności i nieskażenia, narażają na trwałą szkodę ten stan posiadania narodowego, jaki się mieści w pomnikach natury, jako klejnotach ziemi rodzinnej, niszczą te bogactwa przyrodzonej piękności, które równorzędnie z skarbcami narodowymi, zbiorami sztuki i zabytkami budownictwa stanowią ten ogromnej wagi dział narodowego kapitału, którego procenta inkasuje się w świecie ducha a którego znaczenie w dziedzinie finansowej zyskowności niczem jest wobec jego niezamiennej wartości ideowej. Wobec znaczenia wartości tej, leżącej ponad miarą użyteczności pospolitej a określającej się przedmiotowością ujawnioną niewymiernej piękności, jako istności oderwanej i samej w sobie a jednak materyalnie rzeczywistej, ustąpić muszą jako w obce wyższorzędnej wszelkie motywa zyskowności, praktyczności i wzbogacania, będących wyrazem przyziemnych żądz i wskazań względnej pożyteczności. Wszelki zamach tych czynników na rzeczy chrztem piękności uświęcone są profanacyą, świętokractwem, grzechem. A zatem precz z maniją budowania szczytowych kolejek, która rozpanoszyła się w Europie od dłuższego czasu, jeżeli wdzierają się w państwo ciszy i samotnej, wzniosłej dzikości, jeżeli niszczą piękno wspaniałych pomników przyrody. O ile je się zakłada celem uprzystępnienia wzniesień, nie odznaczających się szczególną pięknością i nie mających charakteru niedostępnej, górskiej samotni i cech wysokogórskiego szczytu, trudno cośkolwiek mieć przeciwko temu, tu udzielić wolno pełnego głosu tym względom praktyczności i podniesienia dobrobytu, których znaczenia negować bynajmniej nie myślę.

*
* *

Z czego zrodziła sią ta plaga kolejek? Dzisiejszy tak zwany cywilizowany człowiek, mierzący drogę przebytą od kolebki kultury w jednolitym rozwoju łańcucha dziejowego znikomym trwaniem swego indywidualnego życia, ulega złudzeniu, że od człowieka

pierwotnego, od tak zwanego stanu natury dzielą go olbrzymie przestrzenie czasu. Tymczasem w porównaniu z przypuszczalnym trwaniem gatunku ludzkiego na ziemi okres jego bytowania od zarania kultury, tonącego w mgłach legendarnych tradycyi jest chwilą tylko. Pod całą, stworzoną rozwojem cywilizacyi, chwiejną i niespoistą, podlegającą nieustannie przeobrażeniom nadbudową pojęć, przymiotów i potrzeb kryje się bezporównania szerszy, głęboko w podstawowych właściwościach ludzkiej organizacyi ugruntowany fundament, źródło najistotniejszych jego popędów, instynktów i tęsknot. Tam w głębi podświadomej życiodajnej miazgi, właściwego źródła wszelkiej energii i wszelkich porywów, wszelakich niewolących nakazów działania, wszechwładnego kierownika i rzeźbiarza osobowości, kryje się przyczajony człowiek pierwotny, ten, który z natury pierwotnej jak kwiat z grzędy się rozwinął jako jej funkcya, sił jej żywotnych ujawnienie, — jej część nierozdzielna. Stąd tęsknota do współżycia z dziką, pierwotną naturą, stąd ożywcze działanie, gdy się pije z jej świeżej krynicy. Potrzeba ta nieuświadomiona w okresach kultury, na podłożu nieskażonej natury i z nią współrzędnie się rozwijającej, nie przeszkadzającej stałemu jej zaspakajaniu, ujawnia się wybuchowo, występuje jako problem, jako intellektualna konstrukcya i hasło zawsze wtedy, gdy wyszukana sztuczność warunków życiowych, wyrafinowanie form życia, jako wykwit schyłkowych przejżałych okresów epok cywilizacyjnych, charłaczących na swój dosyt i przesyt, przytłacza ciasnotą swych pęt i wywołuje krańcowe znużenie w klasach najbardziej dotkniętych.

Uwidacznia się wtedy mniej lub więcej uświadomiony pęd, znajdujący swój wyraz w literaturze i sztuce, jako najczulszych organach duszy zbiorowej, ku przyrodzie nie zgwałconej wdarciem się w jej dziedzictwo zdobywczych ludzkich rąk, mącących całokształt, stworzony władaniem jej wyłącznie praw. — Na tem tle wyrosło dążenie do przyrody dziewiczej z końcem ośmnastowiecza, ujęte przez Rousseau w wyraz literacki, stąd w dalszym ciągu przepoił dzikość samotnej przyrody nastrojem swej poezyi romantyzm. Otworzyły się na nią oczy patrzących a niewidzących, znalazły się pojęciowe określenia, oświetlenia ideowe, zdobywające przyrodę dla myślącej świadomości, szukającej wyrazów na to, co spało w instynkcie. Z mroków poświadomych poczuć piękność przyrody wydostała się w jasny krąg sformułowanego poznania. Ujawnił się w tem zresztą już od wieków odbywający się powolny proces zdobywania przyrody we wszelkich jej przejawach przez poznanie estetyczne, idące dość równolegle z pogłębianiem rozumienia jej rzeczowego w zakresie badającej wiedzy.

Tajemnicze zjawisko własnego istnienia i kształtu zrobiwszy z natury rzeczy przedmiotem swych dociekań, zagadkę praw jego usiłując pochwycić i stawić przed oczy w twardym głazie lub w barwnym zaklęciu jego obrysu, — w dalszym ciągu zwrócił się człowiek do otoczenia, zdobywając go dla poznania podciąganiem pod wrodzoną rytmikę własnej formy celem ujawnienia swej z przyrodą jednolitości (często drogą przeciwstawień) w zasadniczym, tkwiącym w nim dążeniu do syntezy.

W ten sposób, z jednej strony sposobem życia usztucznionym kulturą i nią od przyrody mniej lub więcej uniezależnionym, oddalając się od przyrody pierwotnej, zbliżył się do niej człowiek intellektualnym poznaniem i uświadomieniem sobie jej piękności i w coraz szerszym zakresie sfery przepojone wyższą kulturą duchową, naczelny wskaźnik ewolucyjnego procesu, odnoszą się do czystej przyrody we wszelkich jej formach i przejawach z gorącą miłością i modlitewnym zachwytem. Powracająca fala,... dziecię, które odbiegło od łona matki-rodzicielki, przytula się z powrotem do jej życiodajnej piersi.

Szarpiące nerwy i siły życie w potwornych zbiorowiskach współczesnych miast, zmuszających do bytowania w warunkach zupełnie sztucznych i niezdrowych, w sztolniach gwarnych, dusznych, pełnych zgiełku i huku ulic, w rojowisku wiecznie spieszących tłumów, w całej rozwichrzonej, zagmatwanej, napiętrzonej pstrokaciznie dzisiejszego zachrypniętego od reklamowego wrzasku merkantylizmu, w dymach węglowych i wyziewach benzyny, to życie zwyrodniałe i zwyrodniające, obarczające jednych nadmiarem pracy i zajęć w kołowrocie nieustannego pośpiechu bez wytchnienia, niszczące innych pokusami łatwego, bezmiernego użycia, w orgii i rozpasaniu gonitwy za coraz to nową, przeważnie płaską i niezdrową rozrywką, w szerokich sferach wielkomiejskich sprowadza konieczność wytchnienia, potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza, poratowania poszarpanych nerwów ciszą przyrody wiejskiej i górskiej, czy też morskiego wybrzeża. Corocznie też te molochy wielkomiejskie dyszące chęcią nienasyconą zysku i rozpusty, te cuchnące brzuchy polipów, przetrawiające znój ludzki na złoto, wyrzucają z wnętrz swoich rwące rzeki zdyszanego ludzkiego mrowia, rozlewające się gwarną czeredą, łaknącą odpoczynku i świeżych wrażeń po wsiach cichych i lasach, modnych »wodach« i letniskach, zaułkach górskich samotni i plażach, huczących falami.

Cały ten tłum, różnolity a jednak naogół banalny, wlecze za sobą, jak ogon szmaciany, upstrzony tandetą, całą rozpaczną nudę i wewnętrzną pustkę wielkomiejskiego swego bytowania, całą płaskość swych spaczonych instynktów niewybrednego użycia, swe sprzeczne z charakterem przyrody dzikiej nawyknienia wygody i lichego szychu, zwanego komfortem. Całą wielkomiejską, rozpaczną nędzę wloką za sobą, która ich właśnie wygnała, opętani przez nią beznadziejnie i skażają nią każdy kąt, który ich zastępy opanują. Mając smak spaczony całą tandetnością dzisiejszej przeciętnej wielkomiejszczyzny, nerwy rozbujane nieraz, a jednak stępione na świat im obcy, subtelny i cichy, po którego powierzchni ślizgają się niespokojnym, roztrzepanym wzrokiem, niezdolne wniknąć w głąb jego cudownej zagadki, która się dumnie przed nimi zamyka, nie są w stanie te rzesze łaknące wytchnienia, wyrwane na chwilę z kieratu swej niezdrowej exystencyi, dojść do zrozumienia, że z tych dziedzin, które ożywcze źródła dla nich kryją, same się wydziedziczają, te źródła mącąc i zaplugawiając zaczynem śmietnika, z którego uciekli.

Instynkt samozachowawczy i ciężkie doświadczenie o wyrodnieniu fizycznem ludności wielkomiejskiej rozbrzmiewające hasłami hygieny i stworzenia zdrowotnych stosunków istnienia, owczy pęd idący za prądem mody podróżowania i letnikowania, wzmagającym się od końca ośmnastowiecza, naśladowanie warstw wyższych, najdawniej tym prądem ogarniętych, czyniące z turystycznych podróży postulat dobrego tonu i objaw towarzyskiej kultury, wciągające w ten zastęp włóczące się po wszystkich głośnych kątach Europy co raz to szersze sfery wzbogacających się klas średnich, wreszcie ta właśnie wzmagająca się zamożność i coraz dalej postępująca demokratyzacya, która zacierając różnice klasowe, narzuca typ pewnych utartych życiowych potrzeb i nawyknień warstwom ludności coraz to szerszym i niższym — przy równoczesnym nieustannie i szybko postępującym ułatwieniu i potanieniu komunikacyi; wszystkie te czynniki przyczyniły się w ogromnej mierze do szalonego rozrostu turystyki i podróżownictwa, przelewających się już po za kontynent i zataczających coraz szersze kręgi wskroś globu ziemskiego.

Rzuciły się na tę dziedzinę, tak ważną już i ogólną funkcyę życia społecznego, owładnęły nią i opanowały z właściwą sobie brutalną bezwzględnością i arbitralnością

wszechwładne dzisiaj żywioły zysku i spekulacyi. Służąc zawsze potrzebom przeciętnej masy zaczęły przykrawywać przyrodę do miary jej płytkich, spaczonych gustów i nawyknień, przyciągając ją reklamami hoteli, wszelakich cudacznych upiększeń i wymyślnych udogodnień. Jak gdyby po deszczu zaczęły wyrastać wszędzie letniska, stające się ogniskami zbrzydzenia okolic, hotele rozsiadły się w najdzikszych ostępach i poczęły królować na niedostępnych szczytach skał; łąki, lasy, niepokalane złomy granitowe zakwitły wnet upstrzone wielobarwną, krzykliwą gamą reklamiarskich tablic i napisów; rozhulały się pomysły najpotworniejsze. Pod znakiem pośpiechu i wygody, ujażmiania natury tryumfami sztuki inżynierskiej a wyduszania z każdej piędzi ziemi dywidendy, demon spekulacyi, uważający cały glob ziemski jedynie za teren do exploatacyi a siebie za ultima ratio wszystkich ludzkich dążeń, odarty z wszelkich wyższych aspiracyi i jakiegokolwiek zrozumienia najświętszych i wiecznych wartości ducha ludzkiego, w aroganckiej swej pysze i chamskim, tępym zaślepieniu depcący w swym pochodzie najcenniejsze kwiaty kultury, zatruwający swym cuchnącym oddechem atmosferę intellektualną, uczuciową i estetyczną współczesnego człowieka, ten moloch przeklęty i plugawy z wiecznie głodną żeru, otchłanną gardzielą, pan dzisiejszy świata i jego złowrogie fatum; — zaczął się wdzierać na szczyty turnic kolejkami, aby jak ssawkami wyciskać z nich złoto, idol swój.

Było to w smak podróżującej, przeciętnej gawiedzi, dalekiej od zdolności wżycia się w duszę dzikiej, surowej, samotnej przyrody. Zbyt nagle wyrwana z innego zupełnie świata, ze składowiska rzeczy drobnych, nikłych, bricka-bracku lichoty i wszelakich brzydkości, w znacznej części zmrożoną czuła się i przygniecioną wielkością i potęgą wysokogórskiej sceneryi. Zbliżało im i swojskimi bardziej czyniło granitowych olbrzymów, skalne rozpadle i kaskady, gdy je ujrzeli w galanteryjnym garnirunku przylepek, przeniesionych ze światka ich małych spraw, ich szarej codzienności i ich poziomych pożądań. Wszak zasadniczą potrzebą jest tłumu przykrajać wszystko, co mu nad głowy wyrasta, do swej miary, bogi ściągać na ziemię i nurzać w płytkich kałużach swych ciasnych myśli i uczuć dopóty, aż odarte z całego blasku i świetności, zbywszy aureoli, podobne mu się staną i bliskie, aby wtedy dopiero ofiary im niósł. Bezceremonialnym tłum bywa wobec bogów swoich; strach jedynie gnębiący odczuwać zdolen niewolnika, nie umie czcią się przepoić dusz pełnych; boć tłum nie rozumie, nie znosi wielkości.

I cieszyły się dusze kramarskie podbiciem skalnych nieużytków, tryumfem sprytu technicznych wymysłów, zwycięstwem cywilizacyjnej tandety nad martwą dziczą, zadomowieniem się swym na niedostępnych pustkowiach. Aż powiał wiatr inny, wiatr świeży od szczytów kultury. Zaczęła się reakcya, posypały się protesty ze strony istotnych miłośników przyrody przeciwko szpeceniu gór, wziętych przez spekulacyę i gründerstwo bezceremonialnie w arendę. Opatrzono się! Zaczął grozić zalew najzupełniejszy, mógł się nie ostać jeden kąt niesprofanowany. I szersze więc sfery poczęło ogarniać opamiętanie. Mniej już nawet wrażliwi spostrzegają zniszczenie wyrządzone hotelarstwem, reklamą i wszelakim industryalizmem. Bo też miarkę tu ówdzie przebrano zbyt bezczelnie. W Szwajcaryi, najciężej tym wstrętnym najazdem dotkniętej, najsilniej to się daje odczuwać. Okolic najbardziej zaśmieconych co lepsza publiczność unika. Przejrzeli spekulanci, że gnając za ślepym pędem chciwości grosza, stali się jak ów pop, co w zapale gruntownego ochrzczenia utopił dziecko. Z tych więc nawet sfer gdzieniegdzie pada hasło odwrotu. Dochody kolejek maleją, niektóre zaczynają bankrutować. Niektóre kantony uchwalają ustawy ochronne dla zagrożonej przyrody górskiej. Z inicyatywy

prywatnej, ze składek lub z publicznych funduszów nabywa się mniejsze lub większe dystrykty i tworzy rezerwaty, rejony niedostępne dla wszystkich zakusów spekulacyi i niszczenia, nietykalne ogrojce pierwotnej dzikości. Prąd ten zresztą szerzy się w całej zachodniej Europie, wzbiera coraz potężniej, ogarnia coraz szersze kręgi, w ciałach rządzących, w specyalnych instytucyach państwowych przychodzi do głosu, wytwarza się i rozwija ochronne ustawodastwo, strzec mające piękności przyrody i jej pomników. Powstają parki narodowe, stowarzyszenia »Heimatschutzów« rozwijają energiczną działalność. Zwyciężać zaczyna zrozumienie ważności dla rozwoju i zdrowia narodów nieskalanego piękna pierwotnej natury i tegoż piękna wartości bezcennej. Wartości idealne, niewymierne wielkością materyalnych zysków, podnoszą głowę i wypowiadają wojnę ślepym instynktom chciwości, grożącym zatratą najcenniejszych skarbów ojczystej ziemi.

I w takiej chwili, gdy wiatr szczytowy zerwał się i zmiatać poczyna śmiecie, kalające przeczystą szatę dziewiczej przyrody, gdy i u nas strażnicy kultury zrzeszają się i trąbią na alarm, tu w naszym kraju wotuje rząd krajowy wysoką subwencyę na poparcie barbarzyńskiego i głupiego zamierzenia; bez głębszego zastanowienia się i rozpatrzenia sprawy, mimo protestów i głosów ostrzegawczych gotuje zamach na zakątek, przez znaczną część społeczeństwa nieobcą pięknościom przyrody najbardziej ukochany. Nie waha się dopuścić oszpecenia Tatr polskich, tego drobnego gniazda skalnego o przedziwnej piękności, wrośniętego w serca wszystkich, tem droższego, że go tak mało na nieobfitującej w potężne, malownicze pomniki przyrody ziemi naszej.

Czyliż mamy być zawsze kupą maroderów, wlokącą się za armią kulturalnego postępu? Małpować cudze błędy, jeszcze wtedy nawet, gdy inni już się z nich leczą? Czy raczej nie przystoi nam wyforować się na czoło pochodu, nieść pochodnię światła przed ludami? Bywaliśmy już tacy i marzeń o tem nie brakło. Niechaj się ockną wszystkie żywioły dobrej woli i jasnego zrozumienia i skupią do wspólnego wysiłku, aby nietylko ochronić Tatry przed brutalnym niszczącym ciosem, wiszącym groźnie nad nimi, ale też zapoczątkować rzecz jedynie godziwą, wskazaną, konieczną: szeroką akcyę społeczną zmierzającą bez wytchnienia całym wysiłkiem pracy, zabiegów i ofiar do stworzenia z Tatr świętości nietykalnej, krajowego rezerwatu, dzikiego parku narodowego.

Wszak cały obszar polskich Tatr nie przenosi wielkością niejednego z podobnych rezerwatów w Europie a wartość kupna całej ich przestrzeni nie jest tak znowu wysoka. W prywatnych rękach przed zamachami nigdy nie będą bezpieczne, ani przed utrudnieniami w ich zwiedzaniu. Z rąk obecnych właścicieli przejść mogą kiedyś w ręce mniej pieczołowite; nie wolno ich zostawiać niepewnym losu kolejom. W ostatnich dziesiątkach lat ucierpiały niejedno a przy małym rozmiarze granitowej ich części, choćby się nawet kolejka w ich wnętrze nie wryła, niewiele z biegiem czasu pozostać nam może z ich nieskalanej dzikości. Nawet Towarzystwo Tatrzańskie, w specyalnej mające je pieczy, niejednego dopuściło się grzechu; w zbytniej gorliwości o udogodnienie turystyki w niejednym miejscu poczyniło szczerby w dziewiczej zjawie ich nieskazitelnej pustki. Cóż z nich ostawimy w spuściźnie wnukom naszym? Do dzieła więc w imię wzniosłej piękności tatrzańskich turnic i jezior, własności duchowej całego narodu, najcenniejszego klejnotu ziemi polskiej, w imię tej ziemi naszej ojczystej serdecznego ukochania, — pod hasłem: »zdobyć Tatry na własność narodu!«

II.

Leży oto przedemną broszura p. Dzieślewskiego, już szatą zewnętrzną dająca posmak tego źródliska, z którego wysączył się pomysł i jego ujęcie, na wieczną rzeczy pamiątkę i ku rozweseleniu smętliwych wewnątrz wyłuszczone. Okładka siląca się przedstawić coś, jakby drewniane dźwirze zakopiańskiej chaty, na przyczółku zdobna okropnością secesyjnego wywijasa, u podstawy fryzem z secesyjnych kwiatków, godnych podmiejskiej szynkowni, okraszona nadomiar ortograficzną dowolnością — w ramie tej produkuje ku podbiciu z miejsca czytelnika, cud zjawę, obraz stacyi końcowej kolejki, jak go zapewne autor w swych najśmielszych marzeniach wypieścił, przygotowując przezornie do zniesienia tej zawrotnej wzniosłości estetycznych wywodów, które głosi tekst narodowi.

Zasadniczą cechą broszury jest bardzo powierzchowny dyletantyzm, załatwianie się nonszalanckie i pobieżne z kwestyami poruszonemi, niezwykle zawiłymi i niezwykle doniosłymi. Żadnego dążenia do wniknięcia w głąb sprawy, do przemyślenia jej do końca, obejrzenia ze stron wszystkich, rozważenia całej skali pro i contra. Nie jest to naukowa fachowa rozprawa o nieodłącznych znamionach ścisłości i rzeczowości, lecz raczej agitacyjna broszura, malująca w powietrzu zawieszone, różowe horoskopy, dążąca do przekonania społeczeństwa i sfer miarodajnych za wszelką cenę. Wskroś całej broszury wyczuwa się chwiejny, grząski grunt, na którym opiera się cała budowa. Brak jednego, zasadniczego argumentu, stanowczo pewnego, nie dającego się obalić, tego, który przedewszystkiem pomysł usprawiedliwia i genezy jego jest właściwym źródłem. Miasto tego silnego fundamentu, wobec którego reszta schodzi do roli czynników ornamentalnego dopełnienia i wzbogacenia, tu wszystkie traktowane są niejako równorzędnie, jak drążki, podpierające ze wszech stron walącą się budowę, tak jakby z biegiem czasu dodawano je w miarę pękania lichej murowanki, jakby chodziło o przekupienie rozmaitych sfer i interesów obiecankami ewentualnych korzyści, by, gdy odpadną jedni sojusznicy, mieć innych w odwodzie.

Kolejka ma służyć turystyce i w tej dziedzinie spełniać zadanie moralne i ekonomiczne; przez ściąganie zagranicznego ruchu podróżniczego, zapoznawać obcych bliżej z naszym krajem a ziomków ponętą egzotycznej przejażdżki zwabiać w większej ilości do Zakopanego i Tatr, umożliwiając leniwcom i niezdolnym do chodzenia po górach zapoznanie się z ich wnętrzem i tą drogą wzmacniać uczucie miłości kraju rodzinnego. Ekonomiczne horoskopy przedstawiają się świetnie: skierowanie międzynarodowej fali turystów do naszego kraju stanie się źródłem bogactwa, jak w Szwajcaryi i Włoszech, rozwinie się hotelarstwo i t. d. Dalsze dobrodziejstwa kolejki: sanatoryum na Hali gąsienicowej, transport nabiału i wyrób »Ementalera«, zwózka siana i ziół leczniczych, jakoteż drewna i masy drzewnej, wznoszą ją do roli zupełnie opatrznościowej, *ad captandam benevolentiam* ludności podhalańskiej.

Kolejka otworzy dla exploatacyi nieprzebrane bogactwa kruszcowe Tatr; powstaną łomy granitu, przewybornego zdaniem p. Dzieślewskiego, i wyprą granity zagraniczne, za które płyną z kraju znaczne sumy a nawet uczynią im znaczną konkurencyę na rynkach europejskich; ponadto rudy żelazne z pod Magóry a co zatem rozwój przemysłu hutniczego; wapienie, dolomity, piaskowce, ba nawet żyły rodzimego złota. Skarby Sezama otwiera kolejka, zazdrośnie przez króla wężów w łonie Tatr strzeżone, ta nieprzebrana skarbnica błogosławieństw dla kraju. Więc wszystkie te zadania obsłużyć

ma ta kolej, zaspokoić wszystkie apetyty; tylko jak pogodzą się z sobą, pytamy? Czy rozmyślnie wyłuszczyć zapomniano ze ścisłością, na którą ważny ten skopuł zasługuje? Jeżeli przeoczono go, niemniej jest to karygodne i fachową sumienność całej kalkulacyi podaje w wątpliwość. Jak pogodzić regularny ruch pasażerski ze zwózką granitu i innych materyałów, przedewszystkiem zwłaszcza kamienia. Jeżeli w dnie drżyste 2 wózki jedynie dla nich się przeznacza (w każdym razie nie dla siana, Panie Dzieślewski) — jakież wahania nieprzewidziane powstaną w zdolności transportowej kolejki, zaczem idzie niestałe obsługiwanie rynku. W dziedzinie swej specyalności zawodowej, jako urzędnik kolejowy, winien był p. Dzieślewski tę sprawę jasno postawić.

Sanatorya buduje się zawsze w odległości od ognisk przemysłowych, a w szczególności szukający leczenia w sanatoryach górskich udają się tam między innymi też w przypuszczeniu bezwzględnej ciszy dla wyczerpanych organizmów tak potrzebnej i nieskazitelnie czystego powietrza. Wyobraźmy sobie teraz to wymarzone sanatoryum na Hali Gąsienicowej, to Davos polskie, mające ściągać tysiące kuracyuszów z kraju, obecnie zmuszonych szukać zagranicznych wysokogórskich stacyi klimatycznych (śmiem wątpić, czy współcześnie leczy się w analogicznych stacyach tysiące Polaków — chyba że p. Dzieślewski na podstawie niewymienionych a również ścisłych, jak podane, obliczeń przewiduje klęskę gruźliczego pomoru) w sąsiedztwie kamieniołomów granitu i innych skał, wstrząsających raz wraz turnie naokół grzmotem wybuchów min, z tysiąckrotnym echowym pogwarem od turni do turni, w sąsiedztwie motorów i kominów, mącących dymami kryształ górskiego powietrza, w sąsiedztwie rozkwitłej pod okiem jego robotniczej osady, wnoszącej wraz z całym zaśmieceniem i zaniechlujeniem, nieodłącznym u nas niestety od tego rodzaju skupień pracującej biedoty, przytłaczającą zjawę proletaryackiej nędzy, najcięższy wyrzut sumienia współczesnych społeczeństw. Albo przemysł, albo sanatoryum — razem tych dwu rzeczy pomyśleć się nie da — lecz p. Dzieślewskiego to najzupełniej nie żenuje.

Najbardziej potępienia godną jest lekkomyślność z jaką autor podtrzymuje twierdzenie wyborowości granitu tarzańskiego na przestrzeni leżącej w exploatacyjnym zakresie trasy kolejowej. Nie dosyć, że jak punkt po punkcie dowiedli fachowcy, zaniedbał widocznie gruntownych studyów nad najważniejszą tą, o ile chodzi o ekonomiczną racyę bytu kolejki, decydująca kwestyą, ale nawet niezgodnie z prawdą cytuje autorów, z winy prawdopodobnie zupełnej niezdolności oryentowania się w przedmiocie, czy też wrodzonej mu widocznie pobieżności lekkomyślnej dyletanta. Toż samo jego wywody o innych pokładach wykazują całkowitą, kompromitującą ignorancyę w zakresie danej wiedzy, która nie przeszkadza mu z całym tupetem podtrzymywać swe mylne twierdzenie mimo zupełnie przeciwnych wyników, do jakich doszli uczeni badacze.

Taż sama zupełna nieznajomość przedmiotu nie wstrzymuje go od wywodów botanicznych, urągających elementom tego działu wiedzy ani od legendy o widokach rozwoju handlu i przemysłu mleczarskiego wobec notorycznego faktu, że nabiał, produkowany na Hali Gąsienicowej częstokroć nawet dla potrzeb turystów i spacerowiczów nie wystarcza i trzeba go z Zakopanego zasilać. Chyba więc kolejka zamiast zwozić, służyła by do wywożenia nabiału na halę. Musiała by to nawet uskuteczniać bardzo intenzywnie w razie założenia sanatoryum i robotniczej kolonii. Oto tak wyglądają informacye i obliczenia p. Dzieślewskiego, oto z taką powagą traktuje sprawę ogólnego znaczenia, angażującą fundusz krajowy, z takimi banialukami ośmiela się występować przed forum publiczne.

A zwózka siana? Tu też się mści na autorze chęć jego nagromadzenia jak największej ilości smakołyków na wszelki gust. Wypas wielkiej ilości bydła, mającego dostarczyć nabiału, wyklucza kośbę siana, bo trawy zdeptanej przez bydło wykosić się nie da, względnie jej dla niego nie starczy. Na Hali gąsienicowej jest sporo nieużytków i kamienisk a w razie powstania sanatoryum i osady przemysłowej, najrówniejsze jej części zajęłyby wielkie kompleksy budynków, z reszty, a cała Hala nie jest zbyt rozległa, niewiele po odpadnięciu kamienisk i wertepów zostałoby pod wykosy. Gleba na hali jałowa jest i nie bujne trawy; stąd konieczność użyźniania pomocniczemi nawozami, windowanymi drogą, bo kosztowną górską kolejką. Czy rachunek by się ostał? Niech zdanie wypowiedzą rolnicy. U podnóża Tatr tuż przy Zakopanem z komunikacyą nienajgorszą ścielą się rozległe hale w Małej Łące, Kościeliskiej jakoteż Chochołowskiej dolinie nie licząc mniejszych. Jeżeli już chodzi o podniesienie przemysłu mleczarskiego i wykosu siana po podniesieniu wydatności gleby nawozami, o nich przedewszystkiem pomyśleć należy a nie pchać się z takimi dziecinnymi zakusami na wertep Hali gąsienicowej.

Jaskrawo w całej swej nadobnej nagości demaskuje się metoda autora, gdy stara się dowieść, że stosunki metereologiczne Hali gąsienicowej odpowiadają wymogom wybornej stacyi klimatycznej. W podziw niemy wprawiająca brawura, z jaką mimo braku jakichkolwiek obserwacyi przeprowadza ścisłą analogię Hali z Davos, jest wspaniałym tej metody rekordem. Pana Dzieślewskiego najzupełniej nic nie obchodzi, że położenie geograficzne Tatr, bez porównania więcej na północ wysuniętych, takiej analogii stanowczo nie dopuszcza, że znacznie niższa granica wiecznego śniegu stwarza warunki zupełnie odmienne a dominowanie całego massywu gniazda tatrzańskiego po nad znacznie niższą okolną krainą nie pozwala na porównanie z Davos, schowanem w głębokiej dolinie w samem wnętrzu ogromnego morza alpejskich olbrzymów, dolinie od północy zamkniętej, otwartej ku południowi, gdy Hala gąsienicowa od północy prawie nie osłonięta, od północnego wschodu otwiera się na oścież gościnnie wichrom północnym, mogącym poprzez niski łańcuch Beskidu uderzać w nią dowoli choćby od samego bieguna; natomiast od południa odgradza ją niebosiężny mur podwójnego pasma Tatr wysokich a za nimi wyniosły łańcuch Tatr liptowskich. Lecz p. Dzieślewski zgodnie z ogólną techniką swych rozumowań tyłem się odwraca od rozścielonej ku północy otwartej krainy, choć widok jest piękny, a potężnym zaklęciem swej wszechwładnej logiki rozsypuje w puch granitowe ściany od południa, bo te mu są zawadą w przeprowadzeniu oczywistego dowodu, że Hala gąsienicowa winna stać się polskim Davos-em.

Ułatwienie zwózki drzewa z płaszcza lasów, otulających stopy Tatr nie wymaga budowania kolejki aż na Świnnicę. I bez pomocy kolejki p. Dzieślewskiego o wiele prostszymi i znanymi metodami, powszechnie stosowanymi do tych celów, dali by sobie radę obecni tych lasów właściciele, gdyby chcieli prowadzić gospodarkę rabunkową, do której ich kusi romantyczny miłośnik przyrody p. Dzieślewski. Być może poto, aby gdy ograbi wnętrze Tatr wysokich z ich dzikości, której sam główną rolę w przyciągającym uroku Tatr przyznaje, i ugarniruje wedle swego gustu sanatoryami, hotelami, kościołami, kawiarniami, teatrami i innemi cudownościami, jak upojony polotnem marzeniem w tęczowym obrazie maluje, stworzyć rekompesatę tej pożądanej, bo przyciągającej pewne sorty turystów, dzikości i pustki — odarłszy skłony Tatr z ciemnej, cienistej szaty ich lasów. Niestety w bliższym otoczeniu trasy, tych lasów właśnie jest dość skąpo. Popierając dewastacyę lasów u podnóża Tatr nie liczy się p. Dzieślewski, bo

stale przecie z całym szeregiem czynników zwykł się nie liczyć, że z jednej strony zmierzając budową kolejki do podniesienia Zakopanego jako letniska, z drugiej ułatwiając nią trzebienie leśnych ostępów niszczy jedną z głównych sił przyciągających letników. Przeważna ich część nie uważa Zakopanego bynajmniej za punkt oparcia do robienia wycieczek, a za szczere, zwyczajne letnisko i ogranicza się jedynie poza Morskim Okiem do spacerów i przejażdżek skierowanych ku dolinom reglowym i przeważnie do Kuźnic i Jaszczurówki. Te ulubione cele wycieczek stracić by musiały główną część swego uroku, gdyby je odarto z przepysznego obramienia lasów. Wszystkie najbardziej uczęszczane przechadzki na Nosal, Kalatówki, do dol. Olczyska i t. d. przestały by nęcić, kolonije letniskie na Bystrem, w Jaszczurówce i w górnej części Krupówek zostały by podcięte, nie mówiąc już o tem, że mimo oszczędzania lasów trasa kolejkowa do Kuźnic piękną drogę spacerową zbrzydziłaby niepomiernie i odstręczyła od niej wielu. Bardzo illuzoryczna ponęta jazdy na Świnnicę nie wynagrodziłaby tej straty szerokiej masie letników, bądź to nie kwapiącej się do tych rozkoszy, bądź też i to przedewszystkiem, nie mogącej sobie na tak kosztowną przyjemność pozwolić, chyba wyjątkowo, gdy tymczasem oszpeconoby im ich codzienne, ulubione szlaki. Nie mówiąc już o innych konsekwencyach, z tych już powodów kolejka raczej odstręczy letników od Zakopanego, niżby ich miała przyciągnąć.

* * *

Zastrzegłem się wprawdzie na początku, że mam zamiar roztrząsać projekt jedynie ze stanowiska estetycznego i turystyki, sprzeniewierzyłem się jednak temu założeniu, zbyt bowiem kuszącem było wykazanie tego steku bałamuctwa i niedokładności, tej uderzającej opieszałości w traktowaniu spraw doniosłych i ogólnego znaczenia, wyzywających wprost do zademonstrowania ich w całym blasku; choć z drugiej strony uprzytamniam sobie jałowość całej tej roboty, boć przecie ciężkie te przewiny tak głośno krzyczą z tej książki, że uszy zatykać potrzeba, by nie usłyszeć. Widocznie poważnie słuch upośledzony mają referenci Wydziału krajowego. Od tej niewdzięcznej roboty zbijania oczywidnych banialuk zwracam się obecnie do rozpatrzenia momentów estetycznych i szans wydatnego wzmożenia się turystyki. W pierwszej części jasno określiłem moje stanowisko, wspólne również poważnym kołom społoczeństwa naszego, najbardziej w tej sprawie kompetentnym, jak niemniej ogromnej, zorganizowanej na zachodzie już dzisiaj armii obrońców piękności przyrody, popieranej przez rządy i władze.

Budowanie kolejek szczytowych z wyżej wyłuszczonych względów uważam za barbarzyństwo, za wynik zaślepienia spekulacyjnego, spaczenia smaku i techniki podróżowania jakoteż zupełnego nieporozumienia u szerokiej publiczności, jak do dzikiej, górskiej przyrody zbliżać się należy. Źle czynią i szkodę sobie i pięknu swych gór wyrządzają Szwajcarzy i Tyrolczycy, budując szczytowe kolejki. Czy mamy ich naśladować? Pan Dzieślewski twierdzi, że tak i właśnie Szwajcaryę i Tyrol, jako przykład do naśladowania zachęcający przytacza. Podaje cyfrę 46-ciu kolejek powstałych pomiędzy 1870—1900 rokiem po okazaniu się rentowności kolejki na Rigi. Przedewszystkiem nie określa p. Dzieślewski ściśle charakteru tych wszystkich kolejek, nie podaje, na jak wysokie szczyty prowadzą, czy w okolicach dzikich, nie tkniętych kulturą ludzką, czy też już przed tem przez nią opanowanych. Zastrzegłem się poprzednio, że za dopuszczalne uważam prowadzenie kolejek na wzniesienia, którym zbywa na charakterze niedostępności i dzikości turnicowej, znajdujące się w obrębie ludzkiego osiedlenia. Podejrzywam

więc, że spora ilość wymienionych przez niego do tego rodzaju należy a uprawia mnie do tego podejrzenia, zestawianie kolejki na Świnnicę z kolejkami do Czorby i Kolbachu, jakby równorzędnemi, jakkolwiek są to kolejki dojazdowe a nie szczytowe i to jeszcze u podnóża Tatr prowadzone. Przypuszczam więc, że cyfra ta, o ile by miała określać kolejki szczytowe, prowadzące na szczyty wysokie i niedostępne, bardzo by się skurczyła. Następnie porównanie ze Szwajcaryą i Tyrolem szwankuje jeszcze na jednym punkcie.

Alpy stanowią olbrzymią, wysokogórską krainę, napiętrzoną niezliczoną ilością podniebnych szczytów, dzikich niedostępów, pokrytej zastygłym morzem lodowców. W ogromie ich zniknęłyby nasze Tatry, dorastające zaledwie do rozmiarów jakiegoś małego alpejskiego gniazda skalnego i takie niewielkie, jakby zabłąkane gniazdo skalne też stanowią. Wszak długość ich w linii powietrznej wynosi ledwo 60 klm. (nie 112, jak mylnie p. Dzieślewski podawać raczy), w tem Tatry wysokie, jedynie reprezentujące w całej pełni tatrzańsko-alpejski, wysoko-górski typ, po wyprostowaniu ich zagięć tylko 24 klm., z czego w granicach Polski przypadnie nie więcej zapewne, jak $^1/_4$ część (na powierzchnię). Przyganiam Szwajcarom, Tyrolczykom i innym ich skwapliwość w zakładaniu kolejek na wysokie szczyty, jednak trudno nie dostrzec, że przyjąwszy jako rzecz niezbitą, że kolejka taka bądź co bądź szczyt przez nią zniewolony mniej lub więcej szpeci i z uroku właściwego go odziera, czemu chyba i p. Dzieślewski nie odważy się zaprzeczyć, w stosunku wyrządzają piękności swych gór, jako całości posiadania minimalną wprost szkodę wobec tego katastrofalnego zniszczenia, na jakie, zważywszy nikłość przestrzeni polskich Tatr wysokich, naraziłaby je niechybnie kolejka na Świnnicę, choćby nawet niebezpieczeństwo kamieniołomów, sanatoryów i t. p. odpadło. Taki Pilatus czy Rigi odgrywają, jako u wstępu do właściwych, wysokich Alp granitowych napiętrzone i w stosunku do ogromu ich mas i wysokości, rolę naszej Gubałówki lub Porońca, nie mówiąc już o tem, że wobec olbrzymiej ilości podobnych szczytów, zasiewających krainę alpejską, nie przedstawiają dla niej ani w części tej ceny, co choćby niższe od Świnnicy o łagodniejszym rzeźbieniu kopy tatrzańskie. Gdy się ma nadmiar bogactwa, lekkomyślne trwonienie mniej jest godnem potępienia, jak gdy się posiada skarb skromny bardzo, choć ogromnie cenny, którego też strzedz należy, jak oka w głowie.

Zrozumiałem też jest, że nawet szczerzy Alp miłośnicy nie robili na razie hałasu, gdy im kolejkami tu i owdzie szczyty zaczęto drutować i do czasu nie buntowali się przeciw spekulacyjnym zamachom. Dodać też należy, że — nie wiem, jak gdzieindziej — ale w każdym razie znane mi kolejki na Rigi i Pilatusa dotknęły gór, leżących w obrębie bardzo ludnego osiedlenia, tulących u swych podnóży rojne miasta, a Rigi np. jest wzniesieniem, któremu nie zbywa na pewnej malowniczej dzikości, jednakże na ogół przeważa u niego charakter łatwej dostępności. Tu, wobec już ogromnego napływu turystów, zasobnych przeważnie a często w przejeździe do Włoch się jedynie zatrzymujących a więc nie specyalnych miłośników gór i do nich nie nawykłych, łatwiej mogła się nasunąć potrzeba praktyczna takiej kolejki jednej i drugiej, dającej możność spieszącym się, czy też nie umiejącym lub niemogącym po górach się wspinać, zobaczenia pasma granitowych Alp i lodowców, schowanych w głębi za wysokimi już pasmami i nie dających się z niższych wzniesień w całej rozciągłości okiem ogarnąć. U nas, całość Tatr z Gubałówki, Porońca czy Bukowiny, albo i z mniejszych znacznie wzniesień, doskonale widoczna, ułatwienia tego rodzaju czyni zupełnie zbędnymi, zwłaszcza, że spieszących

się rzesz przejezdnych nie ma i nie będzie a kto w Tatry wybiera się z zagranicy, jest już szczególnym gór amatorem, przeważnie wytrawnym alpinistą a na czasie też mu nie zbywa, jeżeli tak daleką ryzykuje drogę. Ciężkim zamachem była kolej na Jungfrau, wdzierająca się w królestwo wiecznych lodów i zamarłej martwoty. To też obudził reakcyę i zamiar budowania podobnej na Matterhorn napotkał na protest ogromnej ilości miłośników Alp, a nawet groźbę bojkotu Szwajcaryi. A przecież mimo ogromu ich i podniebności ni Jungfrau ni Matterhorn wobec potężnej rozpiętości łańcuchów granitowych Alp szwajcarskich nie mają ani części tego waloru, co Świnnica w maluchnym obrębie polskich Tatr wysokich. Lecz i skądinąd ogromna pomiędzy Świnnicą a Jungfrau różnica. Wśród gigantycznego ogromu skalnych massywów, morza śniegowych pól i złomów lodowcowych niknie do pewnego stopnia przynajmniej trasa koleji drapiącej się na szczyt Jungfrau, częściowo gubi się w całej tej potwornej masie, nie narzuca się oku gnębiąco natarczywie. Świnnica jako masa, i jej otoczenie co filigrany w obec alpejskich kolosów, strzelistością jedynie swą, wyzębieniami, poszarpaniem grani, straszliwą przepaścistością urwisk imponujące, niewolące pięknością architektoniki skalnej; tu wszelkie naleciałości kłócące całość i charakter widoku na pierwszy plan wylezą i zepsują zupełnie cały jego urok i potęgę. A jeżeli kto chce rzecz ocenić ze stanowiska praktyczności turystycznej, to nie dotykając na razie innych ważnycn punktów, na jedno zwrócę uwagę. Na szczyt Świnnicy, nie spiesząc się, z Zakopanego i z powrotem jest sie w jednym dniu, z Krakowa używając 2 nocy na jazdę, to samo. Wycieczka piesza na Jungfrau jest uciążliwą wyprawą, zajmująca kilka dni czasu i bardzo kosztowną; tu ludziom mniej zasobnym i skąpo rozporządzającym czasem umożliwia kolej raz choć w życiu spoglądnąć z ogromnych wyżyn szczytu, zapoznać się z krainą wiecznych lodów.

Ogromnie jest zabawny p. Dzieślewski, gdy usiłuje unaocznić piękność Tatr, by dowieść, że warte są tego, by je zaszczycić jego kolejką. Zachwala je, jako towar, zaleca ich wyjątkowe przymioty, jakby ogólnie istniała pod tym względem jakaś wątpliwość i jakby nie było powszechnie wiadomem, że szczerzy gór miłośnicy, zapaleni alpiniści nie dają się zrazić oddaleniem ich od środka Europy i odwiedzają ochotnie. Zdarzają mu się przytem istne perełki lapsusów. Mówi naprzykład: »nadzwyczajna twardość i wytrzymałość tych skał — których ani czas, ani powietrze, ani wilgoć nadwyrężyć nie są w stanie« — (sic) a poniżej: »silny napór lodowców i bezprzestanny wpływ atmosfery uformowały te góry i skały, odkryły granity, wycięły ostro krawędzie grzbietów — unosząc gruzy z gór w doliny. Skała wewnątrz bardzo małej uległa zmianie (czy zaglądał Pan w nią, Panie Dzieślewski?) Romantyczna piękność tych gór jest dziełem zniszczenia.« Czy to nie kpiny? Nie! To już jest taki sposób p. Dzieślewskiego, który sprawia, że słowa, pojęcia, prawa przyrodnicze, cyfry, tracą właściwy swój walor i zamieniają się na jakiś ucieszny *cace valc* około phantomu jego kolejki.

Dla podniesienia efektu z powodzeniem posługuje się poezyą. Jaki związek tajemniczy zachodzi pomiędzy zacytowanym jako motto wierszem Mickiewicza »Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga« a jego kolejką, wie zapewne jedynie p. Dzieślewski. Natomiast bardzo trafnie stosuje wiersz Fredry (i wielcy autorzy popełnią niekiedy częstochowskie wierszydło), który ma się do duszy Tatr, jak pięść do nosa i może wykładnikiem jest pana Dzieślewskiego do tej relacyi.

Prof. Edwarda Strasburgera, polaka, chwalbę Tatr przytacza jako głos cudzoziemca, chwalbę, która słusznie podkreśla, że główną wartością Tatr, warunkiem ich piękności, ich jedynością jest ich bezprzykładna dzikość, samotność, pustka i cisza. I jakkolwiek

autor powyżej sam zaznacza, że znamiona dzikości najwięcej podobają się turystom zagranicznym, nie waha się twierdzić naodwrót przy końcu elaboratu, że każdy przenosi okolicę urozmaiconą i wesołą nad jednostajną i posępną a szczyty przygniatają umysł widza, jego zdaniem, (delikatny umysł) swym ogromem i dzikością. Jak tu pogodzić jedno z drugiem, kto zdoła odgadnąć? Chyba, że panu Dzieślewskiemu odczuwanie szczere piękności górskiej przyrody jest tak obce, że się posługuje tym czy owym utartem określeniem nie czując, co właściwie znaczy. Lecz co się stanie z tą dzikością, traktowaną, jako przynęta dla obcych turystów, gdy się stanie czynem jego kolej?

P. Dzieślewski w szczególnie bezceremonialny sposób obchodzi się ze statystyką. Uważa ją jedynie za pewien zbiór rozmaitych tabel cyfrowych, istniejących po to, aby w razie potrzeby czerpać z niego dowolne fragmenta imponujących laikom kolumn, nadających wywodom pozór naukowości, ścisłości i wszechstronnego zgłębienia przedmiotu, nie zmierzających jednak zupełnie do tego, aby cośkolwiek dowieść naprawdę. Statystyka, jak wiadomo, jest nauką ścisłą, bardzo ścisłą a ponadto trudną i zawiłą. Jak każda, posiada swe ścisłe prawa i ścisłą metodę. Byle jakim zastosowaniem, byle jakich cyfrowych zestawień można dowodzić, przy takim czy innym ich użyciu w miarę potrzeby, twierdzeń zupełnie przeciwnych; rzecz to znana, a miano jej blaga. Twierdzenie, że Lucerna, (która nie była bynajmniej wsią, jak się podoba utrzymywać autorowi, przed wybudowaniem koleji na Rigi, a pokaźnem, warownem miastem od czasów średniowiecza) rozwój swój zawdzięcza kolejce na Rigi, bo po jej zbudowaniu zaczęły się w niej mnożyć hotele, nie jest dostatecznie uzasadnione, jeżeli się nie wykaże równocześnie, że inne też miejscowości Szwajcaryi, nie uszczęśliwione kolejką, w tym samym czasie nie rozwijały się równie szybko, jeżeli się nie zbada, czy ogólny napływ turystów do Szwajcaryi z rozmaitych przyczyn nie wzmógł się w tym czasie i nie wykluczy korzystnego oddziaływania innych czynników, między innemi udogodnienia znacznego komunikacyi kolejowych.

Toż samo, ni przypiął ni przyłatał, zamieszczony poniżej wykaz hoteli nie uwidacznia najzupełniej stosunku ich do zakładania kolejek, nie jest chronologiczny i nawet brak podania roku, z którego pochodzi, choć z textu wynika, że chciałby uchodzić za dowód wpływu niesłychanego kolejek na rozwój hotelarstwa. Zresztą ilość ich na większych wysokościach w stosunku do reszty jest bardzo znikoma a już na wysokościach, odpowiadających mniej więcej Swinnicy jest ich ledwo 17, co w stosunku rozległości Alp szwajcarskich do Tatr polskich dowodziło by tylko, że nam się w Tatrach żaden nie należy, jeżeli mamy dotrzymywać kroku Szwajcarom. Hotelarstwa szwajcarskiego rozkwitem zachęcony, wpada autor w modlitewną ekstazę wołając: «Szczęśliwa kraina, chociaż zamiast urodzajnych łąk i pól ma tylko góry, skały, wertepy i rwące potoki». Nie tak gwałtownie! Przedewszystkiem ma sporo urodzajnych pól, łąk i pastwisk przewybornych, a potem ma skrzętny, solidny, prastary drobny przemysł i rękodzielnictwo i sporo też większego przemysłu, ma oszczędność, pilność i uczciwość ludności i dobry rząd. Nie wątpię zresztą, że hotelarstwo i zawód gospodnio-szynkarski w bilansie Szwajcaryi odgrywa rolę ogromną. Lecz śmiem rzucić pytanie: Czy należy jej tego zazdrościć? Czy nie jest to zwyrodnieniem gospodarstwa krajowego? Życie ludzkie wypełnia się pracą, nią jedynie się tworzą realne wartości. Pracą jest każde działanie produktywne, mechaniczne czy twórcze. Praca uszlachetnia, działa wychowawczo, ukształca narody, podnosi, pomnaża dobytek w materyałach surowych, rękodziełach, zdobyczach duchowych. Lecz nie jest pracą ni kupiectwo, ni handel ni traktyer-

nictwo, ni hotelarstwo. To są zatrudnienia. W pracy jest coś z modlitwy, w tych zawodach coś z piratyzmu. Niczego bezpośrednio nie tworzą, jedynie ciągną z czegoś zyski. Nie neguję konieczność tych zawodów — w dzisiejszym ustroju społeczno-ekonomicznym, nie one są jednak czynnikiem urabiającym cenne wartości duszy narodowej.

A z drugiej strony, cóż zaważyć by mogła w bilansie naszego kraju ta — choćby nastąpiła, a nie wierzę w to zupełnie — nieznaczna nadwyżka turystów z obczyzny zwabiona (śmiech mówić) kolejką na Świnnicę! Przecież oprócz Tatr, Pienin i Krakowa nie mamy im tak dalece nic więcej do pokazania. Co do koleji Jenbach-Achensee, której autor przypisuje wyłączny wpływ na podniesienie się dochodów Tyrolu z ruchu przyjezdnych, to popierwsze kolej ta nie stanowi żadnego analogon do projektowanej kolejki na Swinnicę, po drugie olbrzymia przewaga nadwyżki dochodów przypada na Bozen-Gries i Meran, leżące w południowym Tyrolu w porównaniu z tyle większym Insbruckiem. leżącym blisko rejonu tej koleji. Wobec tego nadwyżka ta, oznaczona na 1 rok jedynie i to aż w 3 lata po otwarciu koleji, nie daje mu żadnego prawa wyciągania powyższego wniosku; nie stara się bowiem wykluczyć innych czynników, które mogły tu działać, co nawet z powyższych względów jest o wiele prawdopodobniejsze, jak jego twierdzenie. Zestawienie to demaskuje ponownie dowodnie metodę autora, manipulującego datami statystycznymi zupełnie nieumiejętnie i uważającego statystykę jedynie za podatne narzędzie do swoich celów.

Niemniejszą nieścisłością, posługującą się zupełnie dowolnemi kombinacyami cyfrowymi, przyjmowanymi na podstawie szablonowych oceniań bez śladu wglądnięcia w istotę dat statystycznych, branych za podstawę obliczeń — odznacza się zestawienie mające służyć za dowód, że ruch turystyczny w Zakopanem i Tatrach zapewni rentowność kolejce. Już olbrzymia różnica pomiędzy ilością zgłoszonych w klimatyce w czasie sezonu osób (r. 1901 — 1903) a ilością sprzedanych w tym czasie na linii Chabówka-Zakopane biletów (65.500) winna była wstrzymać autora od pasowania wszystkich tych pasażerów na turystów; wszak zresztą tą liniją nie jeżdżą tylko sami turyści. Kolejowemu urzędnikowi w kolejowej choćby statystyce przystałoby być ściślejszym. Następne obliczenie przeciętnej liczby turystów, dążących w Tatry w sezonie, jest poprostu nieprzyzwoitością: 40 przewodników obsługuje w 40 dniach pogodnych po 3 osoby przeciętnie — co czyni okrągło 5000 osób (w pełnym sezonie, który tu jedynie może wchodzić w rachubę t. j. od początku lipca do połowy września, nie wierzę, by kiedykolwiek było 40 dni pogodnych); 50 furek dziennie przez owych mistycznych dni 40 wozi po 4 osoby (przeciętnie wolno liczyć najwyżej 3) na różne wycieczki, co czyni razem 8000 osób. Autor przemilcza chytrze że w tych 8000 mieści się przeważna część owych 5000, którzy furkami do Kuźnic podjeżdżają wraz z przewodnikami. Doliczając 100 osób dziennie chodzących bez przewodnika znów przez owych nigdy niewidzianych 40 pogodnych dni — razem 4000 — dochodzi autor z tryumfem do cyfry 17000. Wraz z 3000 maruderów, którzy ani chodzą ani jeżdżą furkami, otrzymamy 2000 zupełnie pewnych, stałych amatorów kolejki na Swinnicę.

Rozpatrzmy bliżej co warte całe to obliczenie. Owoż poza pewną ilością podjeżdżających do Kuźnic wycieczkowców, reszta i to ogromna większość wycieczkujących furkami podjeżdża do doliny Strążyskiej, Kościeliskiej, mających swoich stałych amatorów, jakoteż i to najwięcej jeździ codziennie do Kuźnic na podwieczorek — w niedzielę formalna wędrówka ludów; spora też ilość do Morskiego Oka i do Jaszczurówki,

coś niecoś do Poronina. Przewaga ich więc to nie wycieczkowcy i turyści, lecz spacerowicze, nie okazujący dla wnętrza Tatr wielkiego zainteresowania. Nie są to ludzie co raz to inni, lecz w kółko wciąż ci sami, którzy może z ciekawości przejadą się raz lub drugi kolejką, ale ani w części w tej mierze jej nie użyją, jak swych furek. Ze stu osób wycieczkujących dziennie pieszo i bez przewodnika nie wielka ilość idzie w głąb Tatr, inaczej przecie wraz z tymi, których wiodą przewodnicy, zaroiło by się od nich w górach. Po za tem są to przeważnie ludzie nie zasobni, głównie młodzież, których nie będzie stać na drogą kolejkę, nie mówiąc już o tem, że z małymi wyjątkami będą jej unikać lub wprost bojkotować; zwłaszcza, że wliczyć też do nich trzeba wytrawnych turystów. Turyści, puszczający się znów w głąb Tatr z przewodnikami są bądź szczerymi taternikami, dla których kolejka będzie kamieniem obrazy, a jeśli nimi nie są, to mało których stać będzie na opłacenie przewodnika i jeszcze drogiego biletu dla siebie i dla niego. Morskie Oko zaś ze swoją czarującą pięknością nie będzie potrzebowało się obawiać konkurencyi kolejki i przy swojej klienteli się utrzyma. A jeżeli by miał zbankrutować restaurator Schroniska, to stan posiadania narodowego w dziedzinie hotelarstwa nie podniesie się i główny szeroko zakreślony cel ekonomiczny kolejki będzie chybiony.

Pamiętajmy, że jesteśmy ubogim narodem, i mimo wszelakich nęcących kolejek nie jesteśmy w stanie przysporzyć Zakopanemu olbrzymiego napływu gości; ma on swą pewną naturalną granicę. W zachodniej Europie możność finansowa letnikowania i podróżowanie sięga znacznie niżej w warstwowanie społeczne, tam też znacznie większa istnieje zdolność wzrostu nagłego i wydatnego napływu turystów; u nas inaczej. Ponadto w szczególności za ubodzy jesteśmy, aby módz utrzymać drogą kolej na Swinnicę ruchem osobowym. A byłaby bardzo droga.

Nie umiem ocenić słuszności obliczeń kosztów budowy, ruchu i konserwacyi koleji, bo nie znam się na tem, jednakże bezprzykładna niechlujność, z jaką załatwia się broszura z innymi wchodzącymi w grę kwestyami i cała argumentacya budzi w tym względzie poważne i uzasadnione wątpliwości tem bardziej, że, jak słyszę, pierwotną sumę kosztów musiano obecnie podnieść prawie w dwójnasób a znawcy Tatr twierdzą stanowczo, że koszta konserwacyi obliczono o wiele za nisko, nie uwzględniając z powodu braku znajomości stosunków klimatycznych na przebiegu trasy w zimie, niebezpieczeństw grożących jej w tej porze roku od olbrzymich opadów śniegowych i lawin, co też zmusi do budowania silniejszych murów ochronnych i ciągłych naprawek.

W każdym razie wydaje mi się, że w porównaniu z cenami jazdy na kolejkach szwajcarskich, wiodących na o wiele niższe szczyty i znacznie krótszych, podano cenę 10 kor. za bilet stanowczo za niską. Jeżeli się ponadto zważy, że wobec odpadnięcia dochodów ze zwózki siana, nabiału, ze sanatoryum, co wszystko okazało się wierutnym humbugiem, a niemniej z łomów granitu, bo jak wszyscy nasi geologowie, specyaliści badacze Tatr, zgodnie utrzymują, w pokładach wchodzących w grę w danym wypadku, jest on gruzowiskiem bez wartości, inne zaś pokłady osadowe, przez autora zachwalane wykazują materyał lichy lub nie lepszy od tego, jaki mamy pod bokiem, kolejka będzie się mogła finansować jedynie z dochodów ruchu osobowego. Wypadnie cenę biletu podnieść znacznie wyżej — tem bardziej że marzyć nawet nie można o uzyskanie ruchu choćby zbliżonego do ogromnego napływu turystów, przeciągających utartymi szlakami szwajcarskiemi. Szlaki te znane jeszcze od ośmnastowiecza wiodą poprzez Szwajcaryę do Włoch i na wybrzerze Lewantu. Mają utartą tradycyę i sławę utrwaloną

i zasłużoną zupełnie, boć przecie dają podróżnikowi ogromne bogactwo i rozmaitość wrażeń. Olbrzymie pasmo Alp, zwały lodowcowe, wszystko dostępne poza najwyższymi szczytami nie tyle sztuką, ile samą właściwością budowy tych gór, pełnych wygodnych, drożnych dolin podłużnych i poprzecznych; nisko leżące jeziora, wielkie a malownicze, darzące przyjemnością żeglugi, stare, ciekawe miasta, odmienność sceneryi południowych skłonów, przepych jezior włoskich a potem Włochy z całą swą nieprzepartą, przyciągającą siłą i nieprzebranymi skarbami sztuki. Ponadto wygoda komunikacyi na wielkich liniach światowych i bliskość całego tego Eldorada do centrów środkowo-europejskich, głównych rezerwoarów turystycznej fali. Tatry leżą na boku, bardzo daleko na wschód, na uboczu głównych linij kolejowych, w ślepym kącie, który nigdy stać się nie może przejezdnym szlakiem do dalszych celów, zresztą i do jakichby? Amatorzy, smakosze, znawcy alpejskich rozkoszy, zawsze odwiedzać je będą ochotnie i wierzę, że z biegiem czasu coraz to gromadniej; ci jednak żerem kolejek zębatych się nie stają i kolejce na Swinnicę przyniosą w dani jedynie pogardę. Gdyby powstała, raczej — prawdopodobne to bardzo — wypłoszy ich z Tatr, gdzie szukają wrażeń, którymi darzy ich dzikość wyjątkowa i nieskażenie.

Wielka europejska fala turystów nie powlecze się w ten odległy, zapadły kąt, którego swoistych i subtelnych uroków nie zrozumie a który za drobny na to, aby jej płaskie łakomstwo powierzchownych wrażeń zaspokoił, nawykłe żądać za swoje pieniądze, by ich było dużo i jaknajwięcej w krótkim czasie. Stąd on pospiech szablonowych podróży okrężnych, tak przez włóczącą się gawiedź ulubionych. Jakże tu włączyć Tatry w wygodny plan okrężnej takiej gonitwy. O jakże się cieszę, że ominiesz kraj nasz, ty banalna czeredo! Wszak, gdybyś nam zalała Tatry, zapełniła bezmyślnym swym gwarem, przywlokła w nie całą swą lichotę, przestałyby być nasze — przehandlowane za pieniądz, co się potoczy i odpłynie. Szczęście, że niemowlęco-dziecinną jest nadzieja, aby jakaś kolejka na niezbyt wyniosły szczyt zapadłego gniazda górskiego na uboczu, kolejka na podobieństwo tylu innych w Europie, mogła się stać senzacyą światową i ściągać tłumy ludzi zewsząd, aby się jej dziwowali.

Jeszcze jedną grubą niewłaściwość wytknąć muszę autorowi; oto oblicza ruch osobowy na wszystkie dni sezonu od 1 czerwca do ostatniego września (wszyscy wiemy, że sezon zakopiański trwa właściwie jedynie przez lipiec i sierpień najdalej do połowy września), nie biorąc pod uwagę dni słotnych, które to przecie dla industrialnych celów na innym miejscu rezerwuje, nie bacząc, że przecie w czas słoty nikt na Świnnicę się nie pokwapi.

Jeżeli P. Dzieślewski utrzymuje, że kolej na Świnnicę jest bez konkurencyi, to po obaleniu jego wywodów natury ekonomiczno-industrialnej, trudno mu będzie to twierdzenie podtrzymać. Przypuszczam, że chodzi mu o zapewnienie, że nie grozi jego kolejce konkurencya wiedzionej na szczyt inny, nie koniecznie po naszej stronie Tatr, bo to w tym wypadku nie wchodzi w rachubę. Otóż stwierdzić muszę, że z wielu innych szczytów Tatr widok jest piękniejszy i rozleglejszy, jak ze Świnnicy, choćby z Rysów, najcentralniej w Tatrach położonych a wyższych. Niedawno temu dzienniki podały wiadomość, że ks. Hohenloe projektuje budowę tramwaju elektrycznego do jeziora Popradzkiego. Nie pocieszające to, lecz nic na to poradzić nie jesteśmy w stanie. W każdym razie zło mniejsze, jak kolejka na Świnnicę, chyba że pociągnie za sobą taki «kurort» haniebny, jaki uwieńczył brzegi jeziora Szczyrbskiego, degradując je do stawu sztucznego w banalnym zakładzie kąpielowym. Ale co więcej, wyrażono zdanie,

że po stworzeniu linii tramwajowej już tylko kwestyą czasu będzie budowa kolejki na Rysy. Hotelu należałoby się spodziewać zapewne na Wadze. Pożałowania godna rzecz i przygnębiająca tembardziej, że w tym naszym ukochanym dziedzictwie, z prawa nam należnem, tak przecie naszym zupełnie inni panami są i rządzić się mogą do woli ku zakale i pohańbieniu tatrzańskiej krainy a żaden nasz sprzeciw poprzez granicę nie trafi. A co się stanie, jeżeli się urzeczywistni ta potworność, co się stanie z kolejką na Świnnicę, tą wypieszczoną himerą p. Dzieślewskiego? Czy zdoła wytrzymać konkurencyę wspanialszej rywalki, darzącej widokiem znacznie potężniejszym i anektującej sobie wszystkich cudzoziemców, których p. Dzieślewski tak by zwabić pragnął na naszą stronę, aby ich obłuskiwać z grosików w zamian za zaśmiecenie Tatr swą kolejką i ich tłuszczą. Wszak oni już dzisiaj wyłącznie prawie idą w Tatry od węgierskiej strony, od Szmeksów i Szczyrby, a do nas zaglądają przeważnie schodząc na postój chwilowy. Ot — na jak pewnych podstawach gruntuje się projekt kolejki!

Jeszcze jedno. Zostawiłem na koniec, jako że leży już poza zakresem broszury omawianej, choć ściśle się łączy z jej wywodem turystycznych korzyści. Już w broszurze określono końcową stacyę trasy na 200 m. poniżej szczytu Świnnicy. Zważywszy, że jest to 200 m. najuciążliwszego drapania się, choćby nawet ścieżką udogodnioną, i tak dla znacznej ilości owych «wygodnickich», których nic Tatry nie obchodzą a na które mimo to koniecznie ich wywindować uwziął się p. Dzieślewski, byłoby to jeszcze za uciążliwe, zaś istotnie niezdolnym do wchodzenia na góry i jednak łaknącym szczytowego widoku, zasługującym więc na pewne uwzględnienie uniemożliwiłyby one w znacznej części zdobycie szczytu. Widok zaś z przełęczy, którym musieliby się zadowolnić, nie jest ani szczególnie rozległy, ani wogóle nie dorównujący widokom z innych pobliskich szczytów i przełęczy, choćby z Krzyżnego. Jaki więc sens tam właśnie prowadzić kolejkę, kiedy z reguły i z natury rzeczy zawsze się je wiedzie do szczególnie wspaniałym widokiem uposażonych punktów. Ostatnio doszło do mej wiadomości, że punkt końcowy kolejki, cofnięto nieopodal przełęczy Liliowe z powodu trudności granicznych. To go oddala od szczytu Świnnicy o dwa kilometry w linii powietrznej i umieszcza na przełęczy, nie odznaczającej się bynajmniej pryncypalnym widokiem. Jeżeliby już w samym założeniu tak niebyło, a wszystkie illuzoryczne racye projektu nie czyniły tego samego, to ten moment doprowadziłby go jako kolejkę turystyczną ostatecznie *ad absurdum*.

Oto jest poziom umysłowy wywodów, oto jest solidność obliczeń, oto owoc dojrzałego przemyślenia, gotujący w maniakalnym zaślepieniu zuchwały zamach na całość i nietykalność tatrzańskiej przyrody, w niedocenie wyższych wartości piękna ważący się na wtargnięcie w jej nieskalane łono exploatacyjnych, niszczących zakusów nie chcąc rozumieć, że tam nic do exploatowania niema. Oto jest ćwiok w głowie P. Dzieślewskiego! Przyrdzewiał już zapewne po 10-cio letnich z górą zabiegach i wyciągać go się nie kuszę. Ale jak mógł tego rodzaju groteskowy, płytki elaborat, zlepek wszelakich wymysłów, sprzeczności, sklecony niezręcznie, niezdolny zamaskować swej bezwartości, jak mogła ta ramota podbić Wydział krajowy i poparcie dla się uzyskać. Przecie tu cały szereg spraw żądał stanowczego wyświetlenia i sprawdzenia, powołania odpowiednich rzeczoznawców; przecie istniały już jednozgodne opinie geologów polskich, p. Weyberga, Niedźwiedzkiego, Mielrzyńskiego, Limanowskiego, Kuźniara i tegoż wyczerpująca broszura, miażdżąca projekt w zupełności jako przedsiębiorstwo exploatacyjno-przemysłowe przez wykazanie nicości wszystkich twierdzeń, ignorancyi w dziedzinie

nauk przyrodniczych, nieodzownego klucza do rozwiązania podobnych spraw. Czy uważano za niegodne trudu w biurach Wydziału krajowego z broszurą tą się zapoznać, zdania geologów polskich zasięgnąć, wizyę miejscową zarządzić? Niechaj się opatrzy Wydział krajowy, nim zło nienaprawialne się stanie, że przykłada rękę do operetkowej imprezy, którą się już zbyt długo tumaniło łatwowierność pewnych naszych kół społecznych, bezpośrednio tą sprawą zainteresowanych. Gdy spostrzegą, że je wywiedziono w pole, oburzenie zwróci się przeciw Wydziałowi krajowemu. Gdy się w sposób agitacyjny techniczne i przemysłowe sfery naszych miast, odczuwające potrzebę taniego krajowego materyału budulcowego i technicznego, uwodzi złudnym omamem skarbów zaklętych w turniach tatrzańskich, nie dziwne, że popierają ten projekt. Brak im przecie sił i środków, aby na własną rękę zbadać istotny stan rzeczy. Zupełnie słusznie polegają na decyzyi rządu krajowego, ufając, że sprawę gruntownie rozpatrzy. I potrzeba dopiero głosów samozwańczych uczonych fachowców z nieuśpionym obywatelskim sumieniem, aby wykazać całą bezpodstawność przedsięwzięcia, jak dotąd — głosów wołających na puszczy.

Sprawa wymaga gwałtownie rewizyi, nieodzownem jest powołanie ankiety rzeczoznawców. Nie wolno lekkomyślnie zaprzepaszczać funduszu publicznego, nie wolno, nie wolno bez dokładnego zbadania, czy kolej ta wróży istotnie otworzenie wydatnych źródeł dobrobytu krajowego, zniekształcać i plugawić Hali Gąsienicowej, najmilszego dla wszystkich szlaku wycieczek w głąb Tatr wysokich, najkrótszej i jedynie właściwie do nich drogi na polskim terenie. Wandalistyczny, bezsensowny zamach, produkt nieuctwa i lekkomyślności inicyatora — poparty przez Władzę krajową — wykonany stałby się zarzewiem stałego oburzenia i podkopałby zaufanie do kierowniczych czynników naszej autonomii, skompromitowanych wobec kraju i zagranicy. A potomność w czarnej księdze zapisałaby pamięć tych, co niewczesnym poczynaniem zniszczyli dziewiczą piękność polskich Tatr.

* * *

Na zakończenie słów kilka: W rozwoju Zakopanego od szeregu lat daje się zauważyć wyraźny zastój. Jeżeli ilość przyjezdnych naogół mimo fluktuacyi nie zmniejsza się stale — przynajmniej nie mamy prawa dziś jeszcze stanowczo stwierdzać tendencyi stopniowego zmniejszania się — to w każdym razie jakość pod względem siły finansowej zmieniła się na gorsze. Jakiż powód tego? Wiemy wszyscy. Zaniedbanie miejscowości, mała dbałość o rozwój jej, o inwestycye konieczne, aby ją postawić na stopniu istotnie kulturalnego letniska.

Każde porównanie Zakopanego i porządków tam panujących z jakimkolwiek większym letniskiem zachodniem stanowczo wypadnie na jego niekorzyść. Wobec szybkiego jego wzrostu zapomniano o regulowaniu tego wzrostu i prowadzeniu w pewnym określonym, uplanowanym kierunku. Każdy się zabudowywał jak chciał, panowała anarchia i dowolność. Wśród chat góralskich i will zaczęło wyrastać miasto, takie przeciętne, małe galicyjskie miasto, z całą właściwą sobie brzydotą i bezładem. W środku miejscowości, w jej punkcie węzłowym powstawały i powstają budowle szkaradne, najgorszy pomiot zwyrodniałego budownictwa czynszowego. Rozsiewają się tu kramy, sklepy bez ładu i składu, wykwitać zaczynają szyldy i reklamy wszelakie. I to wszystko piąte przez dziesiąte związane z sobą, polane sosikiem zbanalizowanej, szablonowej zakopiańszczyzny. Z wyjątkiem pewnej ilości solidnych i ładnych budowli, odnosi się na ogół wrażenie

tandentności. Przytem brud, nieład i zaniedbanie, walące się lub pozrywane ogrodzenia, malownicze może nieraz wśród nędznej, zapadłej wioszczyny, rażące przy chodnikach ulicy, bądźcobądź miejskiej, przeróżne szatra, budy, budki poustawiane pod rozmaitym kątem, wyglądają, jak bezładny skład drzewa — a nie ma w tem wdzięku swobodnego, malowniczego rozmieszczenia, lecz niepokój bezmyślnej przypadkowości. Błoto, kurz, wyziewy, niczem zaułki ghetta, oświetlenie nadzwyczaj skąpe, brak kanalizacyi. Cały plan zabudowania zawiły, niewygodny dla komunikacyi, cechuje go właściwie brak wszelkiego planu. Bo też rosło to Zakopane, jak Pan Bóg dał, wyciągając się wzdłuż istniejących dróg, rozbiegających się z dawnej osady wiejskiej, zabudowując się skokami nieraz, zostawiając w ten sposób dość znaczne luki w jednym miejscu, tworząc zbyt ciasne skupienia w drugim. Mimo pewnej ilości ładnych budowli i niedobitków starych chat góralskich, tonących zresztą zupełnie w obudowaniu will i pensyonatów o nudnym lub pretensyonalnym wyglądzie, odczuwać się daje w stosunku do znacznej rozległości i gęstości zabudowania brak poważniejszej treści architektonicznej i artystycznych założeń. Jest w tem wszystkiem jakaś pospieszna improwizacya, prowizoryczność, coś z wyrastających zbyt szybko miast kolonialnych, czy fabrycznych. Ni to miasto, ni wieś, ni kulturalne letnisko a z każdego po trosze tam jest. Nie widać żadnej pieczy naczelnictwa gminy nad artystycznem przyozdobieniem, upiększeniem tego bezładnego zaplątania ulic i zaułków, przeważnie wyciągniętych w nieskończenie długie, nużące kiszki. Przechodząc przez Zakopane, zwłaszcza przez Krupówki i Kościeliską, ale i gdzieindziej także, doznaje się nudy i zmęczenia, odległości wydają się większe, jak są. Zbyt wielka jednostajność szpilkowego zadrzewienia i jak na tak wielkie, bogate letnisko z wielką ilością dużych will i pensyonatów zadziwiająco mało ogrodów kwiatowych, mało dbałości o utrzymanie gazonów i tworzenie pięknych planów ogrodowych.

Stosunki zdrowotne opłakane, nadzór sanitarny jak na letnisko i uzdrowisko niewystarczający, stąd epidemie, powstrzymujące napływ gości, wywożących istotnie nieraz z miejsca, dokąd przyjechali po zdrowie — choroby zakaźne.

Kawiarnie i restauracye ciasne, pozbawione wszelkiego, najprymitywniejszego nieraz komfortu, urządzone ze smakiem plebejskim najczęściej. I one powstały przypadkowo w pewnym miejscu, nie starano się szukać piękniejszego, otwartszego położenia, skierowania frontów ku panoramie pasma tatrzańskiego, z powodu którego przecie to wszystko tu wyrosło i z powodu którego się przyjeżdża. Nie pomyślano w nich o otwartych obszernych werandach, których dziś nie brak przy tego rodzaju zakładach w żadnym większym mieście. Z każdego kąta wyziera małomiasteczkowość, partykularz ze swoim specyalnym zakopiańskim posmaczkiem.

Od dawna odczuwać się daje brak centralnego parku spacerowego z werandami i galeryami, umożliwiającemi jakiś ruch na wolnym powietrzu wśród słoty, parku, któryby zajął wielką, niezabudowaną przestrzeń w środku miejscowości. Miasto tego oddzielono część lasu na stromym skłonie przy ul. Jagiellońskiej, umieszczono tam trochę ławeczek i nazwano szumnie parkiem klimatycznym. Postronność miejsca, spadzistość terenu i utrudnienia w używaniu go przez publiczność, czynią go zupełnie bezużytecznym.

Od wielu lat toczy się kampania o postęp w Zakopanem; najlepsze pióra — Stanisław Witkiewicz wśród nich — oddały się na usługę publicznej sprawie, całą Polskę obchodzącej, bo cała tu zjeżdża. Na łamach pism codziennych raz wraz spotyka się polemiki i utyskiwania. Jak fale o skały rozbija się ten napór o upór zarządu gminnego, w którym rządzą się wszechwładnie jednostki na miejscowym gruncie przemożne, pil-

nujące jedynie swego interesu i o bierność władz krajowych, nie umiejących, czy nie chcących wywrzeć odpowiedniego nacisku. Wszelkie dążenia do poprawy się paraliżuje a Zakopane staje coraz to brzydsze, brudniejsze, niezdrowsze, coraz bardziej niemieszkalne. Wielu już dzisiaj uważa je jedynie za postój do wycieczek w Tatry, inni uciekają do sąsiednich miejscowości, do Poronina, Witowa, Chochołowa; rozwijają się dalsze kolonie letnickie, Bystre, Antałówka, Kościeliska.

Gdy ten proces będzie toczył się dalej, Zakopane, jako centralne letnisko polskie, jako letnia polska stolica, zacznie stanowczo i nieodwołalnie upadać. Koniecznym jest zwrot z linii dotychczasowego rozwoju; wprowadzenie kulturalnych, europejskich urządzeń, (światło elektryczne, kanalizacya itd.), nadzór nad estetyką budownictwa, ulic i zadrzewienia. Zakopane musi stać się z potwornie rozrośniętej wsi-miasteczka prawdziwie europejskiem letniskiem i uzdrowiskiem.

Nie pomogą żadne kolejki, którymi mało kto będzie chciał i mógł jeździć; one nie uratują od upadku i ruiny, jeżeli dzisiejsze oblicze Zakopanego i stosunki tam panujące coraz szersze sfery społeczeństwa naszego będą od niego odstręczać. W tym kierunku niechaj się rozwinie działalność Wydziału krajowego, wspomagająca, wydatnemi subwencyami, z równoczesnym nadzorem ich użycia, rozwój Zakopanego.

Tatry zostawcie w spokoju, attrakcya ich jest potężna i nie wymaga sztucznych, niezdrowych podniet, obniżających właśnie przyciągającą siłę ich piękności. Moglibyście wszystkie szczyty tatrzańskie kolejkami ugarnirować, oświetlić kolorowymi lampkami siklawy, wiszące kolejki rzucić nad przepaściami, windować na nie w koszach tłuściochów, wszystkie te dziwy i czary, wszystkie te rozkosze »Lunaparku« nie przeszkodzą upadkowi Zakopanego, jeżeli zmiana na lepsze wnet się nie rozpocznie. Istnieje zamysł skierowania gorączki exploatacyjnej z drogi na Świnnicę ku Kosistej i Wołoszynowi, których granit ma być w obrębie Tatr polskich jeszcze najlepszy. Stoję na stanowisku nietykalności Tatr, rzucam hasło stworzenia z nich rezerwatu, Parku narodowego. Wżarcie się kamieniołomami w te masy granitowe pociągnie również zeszpecenie i zniszczenie uroku tych kątów i całego ich otoczenia i dostępu. Gdyby jednak względy praktyczne uzyskania materyału krajowego, niezbędnego przy robotach technicznych, zwyciężyły, a prawdopodobnem to jest wielce wobec naporu w tym kierunku z jednej a niedostatecznego jeszcze w szerszych naszych sferach zrozumienia ogromnej ceny kapitału piękna przyrody ojczystej z drugiej strony, to rzucam przestrogę, by gorączka potrzeby nie parła do przedwczesnego poczynania. Granit tatrzański na ogół nie jest pierwszorzędnej jakości, dobywanie go w warunkach klimatycznych ciężkich i surowych musi zwiększyć koszta robocizny i piętrzyć rozliczne przeszkody, również narażające na ofiary. Transport kolejką górską wśród wertepu, większym kosztem założoną, też rubrykę pewną stanowić musi, niemniej dość znaczne oddalenie od większych centr miejskich. Ostrożność i przezorność, ważąca i obliczająca, nim postanowi, nakazuje bardzo ścisłe obliczenie szans dobywanego surowca na rynku ze względu na konieczną, przypuszczalną jego cenę w porównaniu z jego przedniością. Pamiętajmy, że granit ślązki jest pod bokiem i ma doskonałej jakości łomy. I strzeżmy się, aby ochota mimowiednie nie różowiła rachunku. Łacno w związku z kolejką pod Wołoszyn — gdyby mimo wszystko z pożałowania godnym dla Tatr uszczerbkiem do skutku dojść miała, wyłoni się łatwo — niektórzy już się noszą z tą myślą — projekt kolejki na Krzyżne. Miejsce bez wątpienia trafniej dobrane ze względu na widok bez porównania wspanialszy, jak z przełęczy pod Świnnicą i oszczędzenie głównego szlaku wycieczkowego i celu najulubieńszych spacerów. Kolejkę jednak

taką, czy tu, czy tam, o ile wdziera się w dzikie, turnicowe dziedziny Tatr, uważam za przedsięwzięcie niekulturalne, dla piękności Tatr zabójcze, paczące jedynie właściwy, wzbogacający sposób odnoszenia się do nich i sądzę, że słuszność i mych twierdzeń dowiodłem. Już z tych względów do takiego czynu nie powinien kraj ręki przykładać. Nie wolno robić z Tatr »Wurstelprateru«. Jeśli ta racya nie starczy, to odwołuję się do moich wywodów poprzednich, stwierdzających niewątpliwie zupełną illuzoryczność nadzieji, aby kolejki takie u nas mogły ściągnąć poważniejszą falę turystów zagranicznych, zaś aby w braku ich finansowa wydatność naszej ludności przy z natury rzeczy nie mogącej przekroczyć pewnej określonej granicy ilości — była w stanie rentowość takiej kolejce zapewnić. Znamiennie jest przecież, że nawet na zachodzie, w Szwajcaryi i Tyrolu kolejki turystyczne bądź bankrutują, bądź też operują deficytem a w najlepszym razie z wyjątkiem paru szczególnie korzystnie położonych dają bardzo skąpe dochody, niższe od przeciętnej normy oprocentowania kapitału. Nawet zresztą najlepiej sytuowane wykazują stopniowe obniżanie się dywidend a regularnym objawem są u wszystkich względnie wyższe dochody w pierwszych latach a mniej lub więcej gwałtowne obniżanie się ich w następnych. Kolej na Geissberg, której plan sfinansowania czyni P. Dzieślewski podstawą swych obliczeń w zastosowaniu do kolei na Świnnicę, mimo silnego ruchu turystycznego w Alpach Salzburskich i bezporównania mniejszej jej kosztowności, bo znacznie jest niższa i krótsza od projektowanej na Świnnicę, nigdy nie prosperowała świetnie a obecnie wykazuje procent od włożonego kapitału niższy od przeciętnej stopy procentowej tak, że amortyzacya tegoż wydaje się być niemożliwą. Te przykłady powinny odstraszyć od podobnych przedsiębiostw, u nas więcej stokrotnie jeszcze, jak zagranicą, z powodów kilkakrotnie powyżej wyłuszczonych.

I jeszcze jedno — strzeżmy się śmieszności! Puszczając się na takie luksusowe wymysły, których jedynym wątłym uzasadnieniem ckliwy altruizm uprzystępnienia użycia wysokogórskich panoram dla garści chorych i starców naprawdę za nimi stęsknionych (leniwcom indolentom i gruboskórcom iść na rękę przecie się nie godzi), za wątłym, aby nas rozgrzeszał z niszczących zamachów na niepokalaność Tatr, czyż nie narażamy się na śmieszność, podobni żebrakowi w monoklu? Czy wolno nam wobec elementarnych niezaspokojeń, kwilącej zewsząd nędzy, błotnistych zapadlin naszej prowincyi, niechlujstwa i brudu, braku rzeczy najpotrzebniejszych, charłactwa przemysłu, zamierania rękodzieła, zaniedbania szkolnictwa, całego tego koncertu żalów, skarg, niedostatków, jakim rozbrzmiewa wszesz i wzdłuż naokół galicyjskie to nasze bagnisko, bawić się w ekstrawaganckie wymysły, będące schyłkowym zwyrodnieniem pewnego kierunku cywilizacyjnego rozwoju, wykwitem dążeń zaspokojenia zachceń zblazowanego przesytem burżujswa? Gdy roje sierot bez dachu i chleba, przytułki dla starców i kalek pękają od nadmiaru zawartości, a po rynsztokach u naszych stóp wije się ohydna, cuchnąca, spodlona, żebracza nędza, mnożąca się jak robactwo, dysząca naokół, szczerząca się zewsząd, nasuwając na pamięć najstraszniejsze momenta średniowiecza! Szwajcarya ma koleje turystyczne — ale czy spotkał kto w Szwajcaryi żebraka? Więc rany te najwstrętniejsze na ciele własnej społeczności wygajać spieszmy ofiarnością publiczną i pomocą krajowego rządu, a wypłoszmy z głów naszych chimeryczne apetyty, spaczone i niezdrowe, które już gdzieindziej usilnie zwalczać zaczynają.

Jeżeli nam chodzi o popieranie turystyki tatrzańskiej i stwarzanie dla niej udogodnień, to obok dążenia do podniesienia Zakopanego z upadku, jako rzeczy najważniejszej, pozostaje nam tyle bliższych i nietrudnych zadań do spełnienia w otoczeniu Tatr,

że będziemy mieli zajęcia na długo. Postulatem najbliższej chwili udogodnienie i potanienie komunikacyi z Morskiem Okiem, może drogą tramwaju elektrycznego, (z podziemnym kablem), zbudowanego na gościńcu, uskutecznienie połączenia Zakopanego z Chochołowem przez Kościeliską też zapomocą tramwaju elektrycznego, przez co uzyska się bezpośrednią komunikacyę do zamków Orawskich, obecnie bardzo niedogodną. Gdyby się udało w porozumieniu z Węgrami połączyć Zakopane ze Szmeksem takimże środkiem komunikacyjnym przez Jaworzynę, umożliwiłoby to szerszym sferom letników, nie zdolnych do pieszej wycieczki na stronę węgierską i poniesienia znacznych kosztów pojazdu, poznanie Tatr węgierskich, Spiżu, grot Bialskich i t. d., co da im o wiele więcej, jak kolej na Świnnicę, ułatwiłoby powrót zaskoczonym słotą po węgierskiej stronie naszym taternikom a również wydatnie przysporzyłoby napływu podróżnych do Zakopanego od strony węgierskiej. Należy też pomyśleć o drodze kolejowej do Pienin, Czorsztyna, Niedzicy.

A jeżeli już marzenie o polskim Rigi czyjeś głowy tak oczarowało, że żadnymi zaklęciami odczynić się nie da, toż go ma przecie, cały szereg podobnych gór. Nie sąż że nimi Gubałówka, Poronin, Bukowina i inne, położeniem swym w stosunku do Tatr a nawet różnicą wysokości w porównaniu z nimi zupełne odpowiedniki Rigi i Pilatusa w odniesieniu do Alp granitowych. Wygodna, dobrze utrzymana, bita droga jezdna umożliwi do chodzenia niezdolnym oglądanie pasma Tatr w całej jego wspaniałości — z czasem i tramwaj zbudować można. W ślad za tem posypią się wille. A gdy już koniecznie musi być kolejka, gdy Polska cała kolejkę chce mieć, to ku uciesze narodu można nią Gubałówkę obdarzyć. Nie odznacza się malowniczością tak wyjątkową, aby uprawniało to do protestu przeciw takiej w każdym razie nie pocieszającej inwazyi a łagodne skłony jej kopiastego kadłuba i tak już w pewnej mierze poddane kulturze i osiedleniu mniej boleśnie zniosą gwałt im zadany, jak dumne czoła turnicowych baszt. Koszt takiej kolejki byłby nie duży, co w połączeniu z przedsiębiorstwem wykupu i parcelacyi gruntów w jej otoczeniu i na szerokim, płaskim grzbiecie Gubałówki otwiera jej widoki finansowego powodzenia. Na Gubałówce wkrótce powstać by mogła wytworna kolonija letnicza, zabudowana pięknie wedle umiejętnie obmyślanego planu, z czasem wyrosłyby restauracye, kawiarnie, sklepy, zamieniając osadę na samoistny organizm; zresztą połączenie z centralną częścią Zakopanego za pomocą kolejki, stale funkcyonującej utrzymywałoby stały z nim związek. Wyniosłość położenia i przecudny widok na całe pasmo Tatr pociągałoby do wznoszenia will prywatnych, zwłaszcza na słonecznych, południowych skłonach, a sport narciarski i saneczkowy byłby przez kolejkę walnie wspomagany. Nowa osada odciążyłaby Zakopane od zabudowania się i wypełnienia budowlami całej pozostałej wolnej przestrzeni, którą zamienionoby na park.

Nie jestem zatem wrogiem techniki, inżynieryi i tych wszystkich udogodnień, jakie przynosi cywilizacya. Uznaję w całej pełni ważność stwarzania warunków podnoszących dobrobyt i bynajmniej nie staję w poprzek współcześnie panującej tendencyi rozwoju. Ponieważ jednak motorami jej są częstokroć siły ślepe i żywiołowe, w jednostronnym kierunku bezwzględnie dążące i nie uznające po za sobą żadnych innych uprawnionych motywów działania, uważam za konieczne skierowanie ich w uregulowane koryto, aby jak rwąca, niesforna rzeka mętami swych wirów nie pochłaniała skarbów, leżących na brzegach. Skarbami tymi są wyższe idealne wartości, niezmienne i wieczne, a wśród

nich wzniosłe piękno dziewiczej przyrody, niezamienne i jedyne w sobie, gdy nas darzy swym słonecznym, pełnym błogosławieństw, uśmiechem. Winno być ono świętością narodów, nią udarowanych, skarbem nietykalnym i drogim. Tatry są nam skarbem bezcennym, którego strzec winniśmy, jak relikwii. Hasłem więc naszym: Zdobyć Tatry na własność narodu!

Kraków, grudzień 1912 r. *H. Kunzek.*

CO GROZI PLANTOM KRAKOWSKIM.

Wieczna gonitwa za groszem zmusza licznych przedsiębiorców do nieustannych kombinacyi, które często nie liczą się z dobrem publicznem. Przed paru laty, zwracając uwagę na mogącą wyniknąć krzywdę dla Plant, a przez to dla ogółu korzystającego z nich, zdołaliśmy obronić przed kawiarnianym budynkiem część naszego ogrodu-unikatu i to część niepoślednią, to jest od Sławkowskiej ulicy przed Muzeum Czartoryskich. Obecnie choć głuche wieści lecz jednak się rozchodzą, że znów zjawia się p. X czy Y, który zagiął parol na tę samą część Plant. Przypominamy, że jest ona zbyt cenną, aby można było ją wydzierżawiać.

Mamy kawiarnię Drobnera, która zagarnęła dużą przestrzeń Plantacyi; to należy uregulować i obecnie ma się ku lepszemu, usunięto szpetne szyldy, plac uporządkowano. W lecie gdy gra tam muzyka nie można się w tłumie przecisnąć. bo zbyt ciasno. Pozostając przy kawiarniach należy silny nacisk położyć, i tu zwracamy się do Budownictwa miejskiego, na mleczarnię Dobrzyńskiej, Teren jak i budynek wymagają uporządkowania, plan obu projektów powinien być wystawiony na widok publiczny, aby nie powstały rzeczy w stylu p. Zawiejskiego podobne do »Drobneryony« lub przybudówek Teatru Miejskiego. Także kawiarnia Janikowskiego ponoć ulegnie zmianie. Tutaj zwracamy uwagę, że budynek, w którym mieści się kawiarnia ma swój charakter stylowy, zepsuty brzydką werandą, że zatem właściwy budynek bez zmiany należałoby zachować, zaś werandę do niego dostroić stwarzając całość, mogącą stanowić ozdobę Plant. Nie przystoi też przed kościołem św. Krzyża wdzierać się na Planty lub uszczuplać ich od strony Scholastyki. Ze względu na całość Plant są to rzeczy niedozwolone, choćby zwłaszcza z powodu, że zagarnianie kawałów Plant pod stoliki kawiarniane odziera je z zielonych kobierców trawnikowych, darząc miasto tego niemiłym widokiem nudnych szeregów stołów i krzeseł.

W końcu raz jeszcze musimy przypomnieć Świetnej Radzie stołecznego królewskiego miasta Krakowa zapadłą uchwałę postanawiającą, że nie można naruszać Plant. Uchwała ta właśnie zapadła *à pros pos* tramwaju u wylotu ulicy Szewskiej. I teraz ulica Szewska znów wyjdzie na porządek dzienny. Zróbmy prosty rachunek. Planty krakowskie przecina 16 ulic i jeślibyśmy tylko po 2 niewinne metry corocznie odcięli, dla ważnych komunikacyjno-przemysłowych powodów, to by z Plant druga generacya nic nie miała. Jeśli Kraków tak biedny, że nie może sobie pozwolić na drugie okrężne Planty, tylko 52 metrową aleję (która może i do 40 m. dojść może) to nie wolno mu tutaj w śródmieściu nic uszczuplać bo to graniczyłoby z marnotrawstwem. Dla tego też ogół powinien jako opinia publiczna zająć stanowisko, jak to już nieraz było i tego rodzaju zamachów niedozwolić. *S. G.*

Do

WYSOKIEGO PREZYDYUM

stoł. król. miasta

KRAKOWA.

Krajowy Związek turystyczny dla Galicyi z siedzibą w Krakowie, działając łącznie z Towarzystwem Ochrony piękności miasta Krakowa i Okolicy, uchwalił na wspólnej konferencyi odbytej dnia 20 października 1912 przedstawić Wysokiemu Prezydyum następujące uwagi w sprawie nieestetycznego i szpecącego wyglądu ulic naszego miasta, rozlepiania afiszów, plakatów, klepsydr, ogłoszeń i t. d.

Należyte uregulowanie tej sprawy leży z rozmaitych względów w wybitnym interesie Krakowa. Jako droga wszystkim rodakom dawna stolica Polski, jako siedziba licznych gmachów zabytkowych i skarbnica dzieł sztuki dostroić musi miasto nasze także swą szatę codzienną do tych wymagań, jakie zwłaszcza przyjezdni stosować zwykli do Krakowa, tembardziej iż

Kraków interesowany jest bezpoślednio w utrzymaniu względnie w dalszem rozwinięciu przypływu obcych.

Ten punkt widzenia znajduje też pełne uwzględnienie w licznych urządzeniach Świetnego Prezydyum oraz w uchwałach Świetnej Rady miejskiej. Ostatnie lata polityki gminnej miasta Krakowa zaznaczyły się wybitnym postępem w utrzymywaniu czystości na ulicach i placach miasta, w ozdabianiu plantacyi miejskich, w utworzeniu pięknej alei na błoniach, w projekcie drugiego pasa zieleni dokoła powiększonego miasta, w końcu w całym szeregu drobniejszych zarządzeń mających na celu podniesienie estetycznego wyglądu miasta.

W pewnej sprzeczności z całą tą działalnością miasta zostaje po dziś dzień kwestya afiszowania i plakatowania w Krakowie.

Rozwój życia gospodarczego i konieczność coraz intenzywniejszej reklamy w obrocie kupieckim wpłynęły w mieście naszem, podobnie zresztą jak w wszystkich innych centrach handlowych, na niesłychane wzmożenie się reklamy ulicznej, działającej słowem drukowanem, żywą plamą, rysunkiem, reklamą świetlną itd.

Przeciwko temu objawowi, nieuniknionemu w rozwoju stosunków gospodarczych, trudno podnosić zarzuty, idzie jednak o to, aby wybór miejsc pod ogłoszenia, utrzymywanie tablic stale na ten cel służących itd. ujęte zostały w ścisłe normy i nie czyniły ujmy wyglądowi zewnętrznemu miastu, posiadającego zarówno dla swoich jak i dla obcych tyle uroku, co Kraków.

Pod tym względem grzeszy się u nas bardzo wiele. W pierwszym rzędzie bardzo niedbale spełniają swe obowiązki koncesyonowane przedsiębiorstwa ogłoszeń. Podczas gdy naprzykład w Wiedniu pojedyncze plakaty umieszczone są obok siebie bardzo symetrycznie i czysto, jest u nas na porządku dziennym naklejanie jednych afiszów na drugie, nieestetyczne ich rozmieszczanie itd. Tablice czyści się nader rzadko tak, iż naklejanie nowych plakatów odbywa się z reguły na grubej warstwie dawnych ogłoszeń. O usuwaniu zdartych częściowo plakatów nikt nie myśli, a poruszane wiatrem, lub smagane deszczem strzępy papieru wywołują wrażenie wielkiego zaniedbania. Ponadto nie trzymają się wszystkie biura tablic, lecz z braku miejsca zajmują poza ich ramami przestrzenie murów sąsiednich.

W tej mierze posiada Magistrat stoł. król. miasta Krakowa pełną możność naprawy stosunków. Krajowy Związek turystyczny, oraz Towarzystwo Ochrony Piękności miasta Krakowa i Okolicy, upraszają też o wydanie energicznych poleceń pracującym w Krakowie biurom rozlepiania afiszów i plakatów, aby pod zagrożeniem stosownych kar utrzymywały należyty porzadek przy rozlepianiu afiszów w mieście Krakowie.

Zarządzenie takie załatwiłoby jednak tylko część całego problemu. Poza ureglementowanem rozlepianiem ogłoszeń, rozpowszechnione jest u nas niepomiernie nieuprawnione rozlepianie najrozmaitszych ogłoszeń, zawiadomień o wolnych mieszkaniach, o wysprzedażach a nawet cyrkularzy urzędowych, dostaw publicznych itd. bez żadnego porządku, wprost na murach domów, na drzwiach, parkanach, rusztowaniach, rynnach a nawet wprost na gmachach publicznych i zabytkowych. — To »dzikie« plakatowanie przyczynia się w wysokim stopniu do oszpecenia ulic miasta i powinno być przez Zarząd miasta z całą energią wyplenione. Przekroczenie odnośnych przepisów porządkowych winno być przez pewien czas ścigane z całą surowością, a na właścicieli domów należałoby nałożyć obowiązek większej niż dotąd staranności w utrzymywaniu czystości fasad, zwłaszcza zaś rynien, które przez całe lata służą do rozlepiania zabrudzonych kartek z najrozmaitszemi ogłoszeniami.

Uregulowania domaga się w końcu piekąca od lat kwestya umieszczania klepsydr na odrzwiach i ścianach kościołów. Zwyczaj ten, praktykowany w bardzo nielicznych tylko miastach, przedstawia z estetycznego punktu widzenia tem większe niebezpieczeństwo, ile że dotyka z reguły bardzo pięknych, starych budowli, które zarówno pod względem artystycznym jak i zabytkowym należą do najznamienitszych atrakcyi naszego miasta.

Sprawa ta wymaga porozumienia z konsystorzem biskupim jako władzą duchowną i byłoby rzeczą nader pożądaną, aby Świetne Prezydyum zechciało podjąć inicyatywę w tym kierunku. O ile nie dałoby się uzyskać zasadniczych zmian w tej sprawie byłoby przynajmniej ścisłe uregulowanie i należyte przestrzeganie porządku w tej gałęzi plakatowania bardzo korzystną reformą.

Przedkładając powyższe wnioski Wysokiemu Prezydyum zdajemy sobie sprawę, iż ograniczając ze względów porządkowych możność umieszczania plakatów i ogłoszeń, należy równocześnie dać interesantom sposobność odpowiadającego celowi wystawiania na widok publiczny swych zawiadomień, reklam itd.

W tej mierze pozwalamy sobie zaproponować Wysokiemu Prezydyum ustawienie na wzór wszystkich miast zachodu, kiosków blaszanych względnie blaszanych z podmurowaniem kamiennem, o powierzchni dość obszernej do umieszczania większej ilości ogłoszeń, Kioski takie opatrzone dekoracyą kwiatową lub świetlną, możnaby postawić z ominięciem Rynku głównego, na skrzyżowaniach ulic, na większych placach, obok bardziej odwiedzanych gmachów i t. d.

Innowacya taka mogłaby przy należytem jej urządzeniu zapewnić nawet korzyści materyalne dla miasta.

W razie zasadniczej zgody Wysokiego Prezydyum, oświadczają podpisane Towarzystwa gotowość przedłożenia odpowiednich projektów na kioski uzyskać się mających drogą konkursu wśród artystów.

Uwagi nasze mamy zaszczyt polecić życzliwej uwadze i przychylnemu załatwieniu Wysokiego Prezydyum.

Tow. ochrony piękności m. Krakowa i okolicy.
Krajowy Związek turystyczny.

Do
WYSOKIEGO SENATU
Uniw. Jagiellońskiego
W KRAKOWIE.

Śródmieście Krakowa jest ogromnie cenną częścią miasta bo nietylko z punktu widzenia zabytkowego, ale także ze stanowiska estetycznego i najmniejsze zmiany dokonane na jego obszarze mogą wywołać niepowetowane straty, które przez wiele lat odrobić się nie dadzą, lub też mogą bezpowrotnie zniszczyć wiekową pracę naszych przodków.

Szerokotorowa sieć tramwajowa jako wynik wielkomiejskiego częściowo sztucznego rozrostu naszego wielkiego Krakowa grozi odrutowaniem do reszty Rynku, Małego Rynku, a także wkraść slę ma na ulicę św. Anny. Prastary gmach starego uniwersytetu, biblioteka nowa, kościół św. Anny, a częściowo piękna boczna fasada pałacu pod baranami, otrzymają na wskroś nowożytną ozdobę w postaci drutów, a także słupów, które przetną piękną fasadę tych gmachów, bo sądzić należy, że nie znajdzie się taki wandal, któryby w te czcigodne mury wbijał ankry dla wiązań drutowych przewodów elektrycznych.

Ponieważ Wys. Senat zawiaduje czterema gmachami na tej ulicy i ponieważ dla badań naukowych i wykładów zgiełk tramwajowy może być wielce niepożądanym, przeto zwracamy się do Wys. Senatu z prośbą, aby zechciał zająć odpowiednie w tej sprawie stanowisko i tak skutecznie obronić ulicę św. Anny, żeby nadal niepowołane pomysły nie ważyły się napadać na nasze kulturalne skarby.

Do
ŚWIETNEGO MAGISTRATU
stoł. król. m. Krakowa
W KRAKOWIE.

Nim wybudują nowy dworzec kolejowy, upłynie bardzo dużo czasu, a wjazd do Krakowa przez górną część ulicy Lubicz, koło dawnej posesyi Wołodkiewiczów przedstawia taki obraz nędzy, że odrazu wyrabia sobie fatalne wyobrażenie o Krakowie ten co wjeżdża z dworca w mury naszego miasta.

Na wstępie budka — trafika, która rozpędem wtłaczając się, wyrwała kawał muru wyżej wspomnianej posesyi, szater, godny »Ryczywołu«. Potem parkan watpliwej jakości, co grozi zawaleniem, oszpecony całą masą pstrych i bezładnie rozlepionych, a nieraz wiszących jak szmaty afiszy. Brama często nadwerężona w zawiasach a potem ogródek, znów przypominający »Krähwinckel«. Mamy nadzieję, że Świetny Magistrat znajdzie sposób, aby temu złu przeszkodzić i zmusić strony, aby nastał ład odpowiadający powadze i stanowisku naszego stołecznego miasta Krakowa.

Do
ŚWIETNEGO KOM. PARAFIALNEGO
kościoła N. P. Maryi
W KRAKOWIE

na ręce Prof. Henryka Pachońskiego, Pl. Maryacki 2.

Wikaryjka będąca pod zarządem Świetnego Komitetu Parafialnego jest jednym z ważnych budowli, która zarówno Mały Rynek jak plac Maryacki tak pięknie zamyka, że stanowi ważny objekt architektoniczny w tej dzielnicy miasta. Stara ta budowla znajduje się obecnie w opłakanym stanie. Wewnętrzne wady konstrukcyi niszczą mur od strony Małego rynku przez co wystąpiła ogromna plama sięgająca niemal aż do dachu. Przy tem straszne szyldy i liczne plakaty zarówno od ulicy Szpitalnej zdala świecą swą natarczywą reklamą, są także płachty rozlepione po stronie Małego

rynku. Ta niepożądana dekoracya ścian domu jest w wysokim stopniu nie na miejscu ze względu na bliskość kościoła Panny Maryi, zakłóca bowiem w ordynarny sposób piękność widoku niezwykle uroczego na ten kościół, jakoteż przylegający odcinek placu Maryackiego od wylotu ul. Szpitalnej i odziera tem samem jeden z najcenniejszych kątów starego Krakowa z jego powagi i piękna, będącego niejako własnością duchową całej Polski. Miejsca podobne winny być stanowczo chronione przed zamachami prywatnej zwłaszcza przedsiębiorczości reklamowej i tak się też przeważnie w Europie dzieje. W tym wypadku natomiast jakby na urągowisko świecą reklamowe zakusy szczególnie rozpasaną orgię.

W imię dobra Miasta naszego i jego zewnętrznej szaty upraszamy Świetny komitet parafialny kościoła N. P. Maryi, aby zechciał łaskawie wglądnąć w te sprawy i zarządzić takie zmiany, by wyszły na dobro samego budynku i wymogów estetyki.

PRZEWIELEBNE SIOSTRY!

Nasze Towarzystwo dbając o zewnętrzno-estetyczny wygląd tak drogiego nam wszystkim Krakowa, zmuszone jest zwalczać plagę afiszową, która zawieszając stare czcigodne mury Podwawelskiego grodu nietylko odbiera im estetyczny wygląd, ale nieraz czyni je pośrednikami spraw nie licujących z niemi. Opierając się na tych przesłankach, ośmielamy się upraszać, aby Przewielebne Siostry zechciały tak skutecznie zająć się oszpeceniem muru od strony ulicy Zwierzynieckiej jak to uczyniły od strony ulicy Straszewskiego, gdzie ogrodzenie jest zupełnie wolne od tandetnych nalepek afiszowych. Mając nadzieję, że prośba nasza będzie wysłuchaną piszemy się z głębokim szacunkiem i poważaniem.

SPRAW. WALNEGO ZGROMADZENIA
Z D. 25 LUTEGO 1913 W SALI TOW. TECHN.

Na wstępie wygłosił p. Prof. M. Raciborski odczyt na temat:

»POMNIKI PRZYRODY.«

niezwykle zajmujący zarówno tematem jak świetną formą literacką. Treść wykładu, przeniknię-tego miłością flory polskiej, przedstawiała potrzebę ochrony jej rzadkich okazów, coraz bardziej znikających z naszych łanów, łąk, gór, moczarów i stepów.

Na wstępie zaznaczył prelegent, jak różnorodnie odnosi się każdy człowiek do otaczającej go przyrody. Mając np. wiekowe dęby przed sobą, przemysłowiec oceni wartość ich drzewa na deski; garbarz, wiele dadzą cetnarów kory do garbowania; przechodzień szukać będzie cienia pod niemi; botanik oznaczy, że to są dęby, należące do *Quercus sessiliflora* lub *Q. pedunculata*, czasem historyk odnajdzie ciekawą kartkę, kto je posadził lub kto spoczywał pod niemi; niewielu jednak zastanowi się nad tem, jak piękne są te okazy w krajobrazie, a najmniej jest takich, którzy zastanawiają się nad tem, czem one są właściwie w całokształcie tej szaty roślinnej, która okrywa naszą rodzinną ziemię.

Nie będzie przeto rzeczą obojętną, gdy się zastanowimy, co właściwie jest pośród naszych roślin nasze rodzime, a co przyniosła ze sobą eksplautacya gleby, jak rolnictwo, leśnictwo, nawet rozwój komunikacyi i przemysł. W ciągu tysięcy lat ulegała ta roślinność licznym zmianom, zależnie od zmian klimatycznych, jakie w danych czasach panowały. Po ciepłym lub suchym klimacie nastąpiła epoka lodowcowa, w której zwały lodowe z północy tocząc się, oparły się aż o Karpaty i wszystko, co było żyjącego, zgniotły, zdusiły. Dlatego też na północ od Krakowa mamy kraj kryty młodą roślinnością. Lody cofać się poczęły; wtedy flora wysokich gór lub północnych krain, cofała się za lodowcami ku biegunowi, zostawiając tu i tam pozostałości, które w walce z nowymi przybyszami nie wyginęły.

Na stromem zboczu południowem Sokolicy w Pieninach mamy w zupełnie niedostępnych miejscach jałowiec *Iuniperus sabina*, którego gałązki tylko strzelbą można zestrzelić, tej samej rośliny, co na południu Europy rośnie, a tu ostała się w walce o byt. Niedaleko Ojcowa i Olkusza na skałkach jest piękna górska, dla tamtych okolic charakterystyczna roślina *Saxifraga aizoon*, która jest zabytkiem polodowcowej epoki. Tuż obok zaś ciekawa trawa rodzima puszt węgierskich o puszystych wyrostkach owoców, tworząca gromadnie jakby srebrne łany pióropuszy. Jest to *Stipa pennata*. Także znane w Europie azalie, *Azalia pontica*, te co u nas z Belgii sprowadzane, tak chętnie w ogrodach się rozmnażają, pochodzą z Wołynia.

Tego rodzaju roślin dałoby się wiele wyliczyć. Ale nietylko pojedyncze rośliny, także ich zbiorowiska są charakterystyczne dla danych okolic, na nieszczęście tak gwałtownie

trzebione przez kulturę roślin uprawnych. Step poetów, jaki opisywał Słowacki, to kwieciste wonne dzikie łąki z pod Kamieńca Podolskiego, to nie stepowe burzany, w których jeździec z koniem może się skryć, a ku zimie puste pola obumarłe z wielkiemi toczącemi się z wichrem kulami zeschłych roślin i ich nasion. Takie kwietne wonne łąki stepy poetów mamy na Krzemionkach i te należy zachować.

Błotniste miejscowości, dawniej tak typowe dla Piastowskiej ziemi, stały się też przez kulturę zamienione na uprawne pola i łąki, a przez to wymarła ich roślinność. Mamy np. pod Krakowem w Puszczy Niepołomickiej miejscowość Bagno, która w części osuszona tylko, na brzegach posiada jeszcze resztki wielkich paproci. Jeszcze gorzej z roślinnością wód, gdzie nietylko inżynierya wodna przez uporządkowanie zmieniła rośliny, lub je wyniszczyła, ale także nowi przybysze z roślinnego świata tak się rozpanoszyli, że wyparli autochtonów z ich sfery posiadania. Taką typową nową rośliną jest *Elodea canadensis*, którą Niemcy zwą »Wasserperst«.

Już dawno na Zachodzie pomyślano o ochronie tych roślin, wypieranych z rodzimej gleby, tworząc tak zwane r e z e r w a t y. Pierwszy hr. Schwarzenberg w lesie Czeskim wyznaczył kilkudziesięcio-morgowy las dziewiczy, zabezpieczając go przed wszelkim zniszczeniem, a dając li tylko przyrodzie wszechwładną gospodarkę. Za tym przykładem poszły Szwecya, Dania. W Ameryce wielkie przestrzenie zarezerwowano, jako park narodowy. Takież przykłady mamy w Anglii, w Australii. W Szwajcaryi dzieci z swych oszczędności zakupiły dolinę Rütlital nad jeziorem Czterech Kantonów i stworzyły w ten sposób rezerwat. U nas pierwszy hr. Włodzimierz Dzieduszycki w swych dobrach Pieniaki wyznaczył pewną przestrzeń, którą ochronił od wszelkich zmian, jakie może wnieść ręka ludzka. Do pewnego stopnia da się z tem nawiązać przez Wydział krajowy wydane rozporządzenie, i to jako jedno w pierwszych w Europie, zakazujące tępienia zwierząt (jak kozice i świstaki) i roślin. T w o r z e n i e t a k i c h r e z e r w a t ó w b y ł o b y r z e c z ą n i e z m i e r n i e w a ż n ą.

Czyby nie dały się w ogrodach — kończył prelegent — utworzyć na podstawie znajomości właściwych roślin takie właśnie zbiorowiska, któreby nie tylko odpowiadała estetycznej stronie zadania, ale także uwzględniały rodzimą florę. Jak Japończyk, Grek lub Rzymianin układali bukiety, wieńce lub girlandy we właściwy sobie sposób, jak każda epoka ma swe gusta w zdobnictwie kwiatowem, tak czyby u nas na zasadzie tego, co wśród ludu z podań się zostało lub z tradycyi po dworach i dworkach, nie znalazły się formy naszych wiązanek, wieńców, np. wianki świętojańskie, korony dożynkowe, które byłyby naszą rodzimą, a nie importowaną modłą.

Następnie toczyły się obrady. Przewodniczący wezwawszy obecnych, aby uczcili pamięć przedwcześnie zgasłego artystę rzeźbiarza Jana Nowaka, w gorących słowach wyjaśnił stratę jaką nietylko sztuka, ale i Towarzystwo poniosło z jego zgonem.

Prezes Tow. Dr. G o l i ń s k i zaznaczył, że obecne walne zgromadzenie przypadło w 25 rocznicę założenia Towarzystwa. W r. 1888 grono ludzi, dla których nie obcemi były zagraniczne prądy, powzięło myśl upiększania Krakowa. Więc powstały szeroko zakrojone, nawet statutem objęte pomysły: most na Wiśle, tamże promenada, wielki budynek kasyna, park na Błoniach i w. i. Zamiary były ponad siły, a na ich urzeczywistnienie potrzeba by było 6 milionów koron. Ten zbyt wysoki lot wpłynął na pewnego rodzaju ociężałość i apatyę u kierowników, a także, co za tem idzie zmniejszające się zainteresowanie u ogółu. Miało to jednak dobrą stronę, bo w ciągu bezczynnych kilkunastu lat nagromadziła się znaczna gotówka. I tu następuje zwrot. Nowe i pełne zapału żywioły weszły do wydziału, nastąpiła krótka walka choć ze zwycięstwem tych, co nowe wytknęli drogi, ale z głęboką raną w budżecie, bo ustępujący wydział przeforsował złożenie na pomnik Kościuszki 10.000 kor., a więc całą gotówkę Towarzystwa czyli podcięcie jego egzystencyi, a co gorsza ofiara na pomnik, który zdaniem nowego wydziału nie odpowiadał godności idei kościuszkowskiej była nieodpowiednią. PP. Lepszy i Ekielski stojący wówczas na czele Towarzystwa mieli dużo z tą sprawą kłopotu, aby sprawy nie zaprzepaścić. W końcu znów zwycięstwo było po stronie Wydziału. Wtedy dopiero Tow. mogło z odkrytą przyłbicą zmienić tytuł, stać się Towarzystwem ochrony piękności Krakowa. Towarzystwo nie tylko zdołało swe idee przeforsować tu na miejscu, ale z jego inicyatywy utworzył się Związek kilkunastu towarzystw w całym kraju, który kiedyś silne piętno wywrze na zewnętrzną szatę naszej ziemi.

Na wniosek jednego z członków uwolniono sekretarza od czytania sprawozdania rocznego i przyjęto to sprawozdanie jednogłośnie. Na wniosek p. J. Eustachego Chronowskiego, jako

członka komisyi rewizyjnej, udzielenia absolutoryum Wydziałowi na zasadzie rewizyi ksiąg i sprawozdania kasowego. Wniosek jednogłośnie przyjęto. Następnie:

St. radca Muczkowski podniósł konieczność uporządkowania Błoń i »Wenecyi«. Dr Klein postawił wniosek z protestem przeciw budowie toru tramwajowego przez Rynek obok Ratusza, przez ul. św. Anny i Szpitalną. Po przemówieniach Dra Stępowskiego i p. Grzywińskiego obydwa wnioski jednomyślnie uchwalono.

Do zarządu wybrani zostali pp.: Aksentowicz Teodor, Bukowski Jan, Dębiński Stanisław, Ekielski Władysław, Grzywiński Jan, Dr Goliński Stanisław, Hendel Zygmunt, Konieczny Włodzimierz, Dr Klein Franciszek, Kłeczek Andrzej, Dr Kunzek Henryk, Laszczka Konstanty, Dr Leo Juliusz, Lepszy Leonard, Małkowski Witold, Dr Muczkowski Józef, Noskowski Witold, Dr Sobeski Michał, Struszkiewicz Jerzy, Walczak Mieczysław, Warchałowski Jerzy, Wojtyczko Ludwik, Wyczyński Kazimierz, Żeleński Stanisław G.; do komisył rewizyjnej pp.: Chronowski Jaxa Eustachy, Rząca Tadeusz i Wójcikiewicz Stanisław.

Po ukończeniu wyborów i wyczerpaniu porządku dziennego Przewodniczący zamknął Walne Zgromadzenie.

AMFITEATR POD WAWELEM.

W celu zabezpieczenia miasta Krakowem przed zelewami Wisły wykonuje Wysoki Rząd wzdluż brzegu Wisły budowle, które po stronie lewej jako mury po stronie prawej zaś częściowo jako wały i mury ujmować mają najwyższe stany wód i chronić niżej położone dzielnice przed klęskami powodzi. Dzieło to dla miasta Krakowa epokowe, wykonane sumptem kilkunastu milionów koron zmieni zasadniczo dotychczasowy charakter nadbrzeżnych ulic i budowli. Jeden z najcenniejszych nam zakątków, majdan pod Wawelem ciągnący się od mostu prowadzącego na Dębniki na Skałę królewską — znany tysiącznym rzeszom uczestników obchodu »Wianków« również swój zapomniany wygląd zmieni, oby nie na przykro — szablonowy.

Wysoki Rząd orzeczeniem Namiestnictwa uznał niepowszednie znaczenie tej nadbrzeżnej płaszczyzny i przychylił się do życzenia delegatów gminy, aby architektoniczne ukształtowanie powstać mających budowli w porozumieniu z nią przeprowadzone było; równocześnie na ten cel ofiaruje kwotę 45.000 koron.

Notatkę tę podając zastrzegamy się, że wracać będziemy do tej ważnej, a obecnie niezmiernie aktualnej kwestyi.

ZWRACAMY UWAGĘ NA KONKURS OGŁOSZONY NA TRZECIEJ STRONIE OKŁADKI.
DO NUMERU DOŁĄCZONE SPRAWOZDANIE ROCZNE TOW. OCHRONY P. KRAKOWA.

Redaktor odpowiedzialny: JAN GRZYWIŃSKI.

W KRAKOWIE 1913 ROKU. — CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU", POD ZARZĄDEM ALEKSANDRA ŚWIERZYŃSKIEGO



— W KRAKOWIE 1913 ROKU. — CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU", POD ZARZĄDEM ALEKSANDRA ŚWIERZYŃSKIEGO. —